Na okaz. NR 2 Rok I

We Lwowie 7. października 1882.

„ZIARNO“

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.



„ZIARNO“ kosztuje:

W miejscu rocznie: **12 zł.** — na prowincji: **13 zł.**

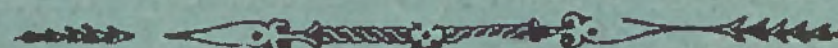
„ kwartalnie: **3 „** — „ **3 „ 25 ct.**

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczają sią INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę, tak miejscową jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.
tudzież wszystkie księgarnie.



☛ PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Odszczególnione pięcioma medalami zasługi

i listem pochwalnym

za przewyborne perfumy i wody toaletowe.

Woda lwowska odznacza się bardzo przyjemnym i długotrwałym zapachem, zastępuje perfumy, wody pachnące, octy aromatyczne i toaletowe. — Woda lwowska zyskała powszechne uznanie i wziętość w kraju i za granicą. Ponieważ woda lwowska nietylko jest znakomitą perfumą do skrapiania sukień i chustek, lecz użyta także za pomocą rozpylacza, daje bardzo wonne i miłe kadzidło, flakon 80 ct. i 1 złr. 50 ct.

Woda lewandowo-ambrowa. Posiada bardzo przyjemny i silny zapach; służy do skrapiania sukień i chustek, niemniej też użyta za pomocą rozpryskiwacza, daje bardzo przyjemne i wonne kadzidło. Cena flak. na 1·20. Pół flakona 70 ct.

Woda lewandowa podwójna. Odszczególnia się nader przyjemnym orzeźwiającym zapachem i używa się nietylko jako woda pachnąca do skrapiania sukień, chustek i mieszkań, lecz także jako woda toaletowa ma obszerne zastosowanie w damskiej toalecie, czy to do nacierania ciała, lub też zmieszania z wodą do mycia, bardzo korzystnie wpływa na płeć i skórę, konserwując i chroniąc ją od wyrzutów, zmarszczek itp. Cały flakon 90 ct. Pół flakona 50 ct.

Woda kolońska potrójna, która o wiele przewyższa swoją dobrocią zagraniczne flakony po 40, 80 i 1·50.

Woda kolońska flakony po 25, 50 i 1 złr.

Ocet toaletowy. Odznacza się nader przyjemnym zapachem i jest powszechnie używanym do odświeżania ciała, skórze nadaje jędrność, czerstwość i chroni ją od wszelkich wpływów szkodliwych powietrza. Służy on również do odświeżania i odwietrzania powietrza w salonach. Cena 50 i 1 złr.

Perfumy. Chypr, heliotrop, jaśmin, Jokey-Klub, hiacynt, lilija, perfuma krakowska, perfumy z kwiatów alpejskich, kwiatów polnych, kwiatów wschodnich, Ess-bouquet, Millefleurs, paczula, rezeda, róża mchowa, Opoponaks, Ylang-Ylang, piżmo, perfuma litewska, fiołek, świtezianki, ambrozja, niezapominajki, pieszczotka, kwiat polski, konwalia, pierwiosnek, róża itp. flakoniki po 30, 50, 75 ct. 1·50 i 2.

Saszetki (Sachet) z zapachem paczulowym, z kwiatów wschodnich, konwaliowym, kwiatów polskich, kwiatów alpejskich, fiołkowym, lewandowym, piżmowym, różannym, heliotropowym itd. po 50 ct., 1 złr. i 2 złr.

Wody toaletowe z zapachami: fiołek, heliotrop, Millefleurs, Ess-Bouquet, służą do nacierania ciała i skrapiania włosów. Flakon 1 złr.

JAN IHNATOWICZ,

magister farmacji i chemik sądowy.

Nabyć można we Lwowie w fabryce ulica Kopernika l. 3, u pp. Kozłowskiego, Hawranka, Henryka Müllera i Bystrzonowskiego, w Krakowie we Filji Sukiennice l. 20, w Brodach u Witkowskiego, w Buczaczu u Müllera, w Brzeżanach u Millera, w Tarnopolu u Jamrogiewicza, w Stanisławowie u Macury, w Przemyślu u Nahlika, w Jarosławiu u Wisłockiego, w Samborze u Marescha, w Podhajcach u Karzykiewicza, w Stryju u Wysoczańskiego, w Kołomyi u Stenzla.

2057 22—0 3

„CONCORDIA"

pierwszy lwowski zakład pogrzebowy

F. OPUCHLAK

plac Kapitulny liczba 3.

Urządza pogrzeby począwszy od najskromniejszych do najwspanialszych dla wszystkich stanów a wykonując ze znaną sumiennością jak najobszerniejsze zlecenia, uchyla wszelkie trudy pozostałej rodzinie.

Wszelkie przybory pogrzebowe są zawsze w jak największym wyborze na składzie.

Główny skład trumien kruszcowych hermetycznych

(co do jakości i trwałości niezrównane)

Trumny drewniane dębowe, politurowane, imitacje metalowych, obite aksamitem i atłasem. Materace do trumien, poduszki kapy altasowe i adamaszkowe, satynowe mulowe i t. p.

Skład komisowy wieńców grobowych

metalowe, paciorkowe, z suchych i sztucznych kwiatów w bogatym wyborze, również szarfy i wstęgi do wieńców jedwabne, atłasowe i morowe z napisami i bez tychże.

Wieńce z żywych kwiatów wykonuje bez różnicy pory roku jak najspieszniej.

Zakład pogrzebowy „CONCORDIA" urządza także kompletne pogrzeby na prowincji. Wszelkie zamówienia z prowincji bez różnicy czasu (w dzień czy w nocy) wykonuje bezwłocznie.

„CONCORDIA"

F. Opuchlak.

Służba TELEFONICZNA

we Lwowie.

Podpisany ma zaszczyt zawiadomić Szanowną P. T. Publiczność, że na mocy udzielonej przez Wys. c. k. Rząd koncesyi, przystępuje **przedsiębiorstwo telefoniczne** bezzwłocznie do budowy linii i urządzenia stacyj telefonicznych **we Lwowie z okolicą.**

Cena **rocznego abonamentu** na stację telefoniczną, przy odległości tejże do dwóch kilometrów od biura centralnego wynosi **90 zł.** Za każdy dalszy kilometr lub tegoż ułamek dopłaca się **20 zł.** Bezpośrednie połączenie dwóch stacyj, bez współudziału biura centralnego, kosztuje rocznie **140 zł.** na odległość dwóch kilometrów, za każdy dalszy kilometr dopłaca się 35 zł.

Bliższe szczegóły udziela podpisany w tymczasowym lokalu przedsiębiorstwa, **hotel Angielski Nr. 115**, a przyjmuje zamówienia abonentowe, o których wczesne zgłaszanie najuprzejmiej uprasza.

Władysław Dunin,

inżynier, reprezentant przedsiębiorstwa telefonów.

Nr. 2. We Lwowie dnia 7. Października 1882 r. Rok I.



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno“

W miejscu rocznie 12 zł.	na prowincji 13 zł.	
„ kwartalnie 3 „	„	3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct.	„	1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.

INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

O nauczaniu historji.

Historja jest niezaprzeczenie mistrzynią dla tych, którzy z burzliwych fal dziejowego odmętu umieją wyławiać niesfałszowane perły wielkich prawd i cennych wskazówek — jest atoli pstrą tylko mozaiką wydarzeń dla tych, co w niej szukają szychowego blasku, znikomych fajerwerków i mdłych kadzideł. Dla jednych dzieje są niezmordowanym pochodem ku swobodzie i światłu, nieustającym rozwojem, zmierzającym ku udoskonaleniu człowieka i stosunków społecznych — dla drugich błędną wędrówką ciemnego stada, które, by się nie zbiło z tropu i nierozbiegło, ślepo bić musi czołem przed powznoszonemi dłań pagodami i słuchać komendy suchych i twardych jak kamień — dogmatów.

Stosownie do tych zapatrywań, różnym jest i program nauczania historji. Jedni uczą młodzież kochać i pojmować wielkie hasła dziejowe, wtajemniczają ją w mozolny trud cywilizacyjnego dorobku, zniewalają podziwiać i czcić szlachetne porywy ku prawdzie; drudzy uczą jej przedewszystkiem subordynacji i posłuchu dla tego co jest, wymagają pokłonu dla tego, co było i drżeć przed sobą kazało.

Jakim wyobrażeniom w nauczaniu dziejów hołduje komisja, wyznaczona przez krakowską Akademię Umiejętności dla reformy szkół średnich wykażą następujące cytaty.

Najogólniejsze tezy najłatwiej zwykle wygłaszać, brzmią bowiem gromko i niepotrzebują się z swej ukrytej treści szczegółowo spowiadać. Brzmi więc niezgorzej w referacie ogólnym Sprawozdania (*), że „zadaniem nauki historji winno być przedewszystkiem przedstawienie obozów, walczących w historji z całą ich powagą i grozą, przyswojenie zrozumienia głębszego, bez ryczałtowego sądzenia z punktu pewnej doktryny wielkich religijnych, politycznych i społecznych zagadnień, wstrząsających ludzkością, przejęcie młodzieży uszanowaniem dla tych spraw wielkich“ i td. Do orzeczenia tego komisja dodaje zrozumialszy komentarz, mówi bowiem, że „strzedz się przedewszystkiem trzeba zdawkowej teorji historycznego postępu.“ W szczegółowym referacie prof. Miklaszewskiego, który następuje poniżej, stanowisko to staje się coraz wyraźniejszem.

Nie należy uczniom opowiadać o wytwarzaniu się religij pogańskich, języków, o filozofii i literaturze Greków, nawet o prawodawstwie i stosunkach społecznych Rzymu, bo wszystko trąci to wolnomyślnością. Natomiast szczegółowo rozpowiadać potrzeba o założycielach zakonów i scholastycznych doktorach. Referent pomija Sokratesa, Arystotelesa, Platona, każe jednak zapoznawać się uczniom z Franciszkiem z Assyżu, św. Janem Kapistranem, Anzelmem biskupem kenterburyjskim, Tomaszem z Akwinu, Benedyktem z Nancy i t. p. Mają oni suszyć głowę nad scholastycznym „nominalizmem“ i „realizmem“, i podziwiać uniwersytet paryski, „jako główne ognisko wiedzy teologicznej.“ W wykładzie w. XVI mamy się strzedz „fałszywego“ jego przedstawienia, płynącego z stronności „prusko-protestanckiego kierunku“; natomiast śledzić bacznie za wielką pracą „odradzającego się katolicyzmu“ i zapamiętać sobie szczególnie „takie typowe postacie jak Ignacy Lojola, Paweł IV, Pius V, Syxtus IV“ lub „święte postacie tej miary jak Filip Nonus Carisius, św. Teresa, Jan od Krzyża.“

Wysunąwszy na pierwszy plan „odradzający się katolicyzm“ referent ledwie wspomina o odrodzeniu się na wzorach klasycznych humanizmu XV w., o dalszym rozwoju tego humanizmu, wzroście dążeń reformatorskich na polu religijnem w w. XVI i pomija następnie cały bujny rozrost nowoczesnej niepodległej nauki od w. XVII do dni na-

* Sprawozdanie komisji w sprawie reformy szkół średnich, powołanej przez Akademię Umiejętności w Krakowie do załatwienia przekazanego jej wniosku przez W. Sejm. = Kraków, nakładem i czcionkami drukarni Czasu 1881 r.

szych; pomija także walkę o niepodległość Stanów Zjednoczonych Ameryki i wielką rewolucję francuską.

Taki ma być zdaniem referentów, nie hołdujących „zdawkowym teorjom dzisiejszym" wykład historji w V, VI, VII i VIII klasie naszych gimnazjów.

Po tem wszystkiem nie dziwimy się też, że komisja chce skrępować zupełnie nauczycieli w ich wykładzie, postanawiając, że „stałe książki i teksty stanowić powinny drogoskaz obowiązku nauczyciela; pod surową odpowiedzialnością i utratą posady niema mu być wolno odbiegać od miary, treści i metody nauki z góry zarządzonej; ci, którzy tego z swojem sumieniem lub przekonaniami pogodzić nie mogą, nauczycielami być nie powinni." (str, 11, 16)....

Referat komisji w sprawie reformy szkół średnich, powołanej przez Akademię Umiejętności do reformy szkół średnich, mocą uchwały sejmowej z 14 lipca 1880 r., posłużyć ma za podstawę reformy naszych szkół średnich — na pilną też z naszej strony zasługuje uwagę. Chwila tak uroczysta, jak reforma naszych szkół średnich, jedynych dziś gimnazjów z wykładem polskim, nic dziwnego, że interesuje także rodaków naszych po za kordonem. Najdonioślej w tej sprawie odezwał się tłumacz Drapera p. Tadeusz Korzon w broszurze, wydanej z powodu powyższego sprawozdania komisji. (**) Autor protestuje przeciwko podobnym zapatrywaniom na historję i jej wykład, ze stanowiska człowieka „zdawkowej nauki dzisiejszej," racjonalnych wymagań pedagogii, a wreszcie miłości kraju i jego lepszych w tym kierunku tradycyj.

Zapatrywania, wyrażone w sprawozdaniu komisji nie zgadzają się najprzód z dzisiejszemi wymaganiami nauki, która nie zna innych przepisów nad prawdę, i której tak samo nie można narzucić pewnych poglądów, jak nie można ich narzucić fizyce, biologii lub filozofii. Socjologia, której historja częścią jest tylko, ma także swe naukowe prawa, których pod karą nieuctwa i ciemnoty zapoznawać nie wolno. Dyrektywa zresztą proponowana w referatach komisji nie zgadza się z dzisiejszemi wyobrażeniami nie tylko o nauce, lecz i o swobodach osobistych.

Pragnie ona zrobić z nauczycieli uległych manekinów, którzyby ślepo, wbrew nawet swym przekonaniom, głosili prawdy z góry nakazane, pragnie nareszcie wytworzyć z młodzieży naszej ślepych wyznawców dogmatów historycznych — dlatego też przeciwko referatom owym, w imię nauki i wraz z p. Korzonem protestujemy.

** O nauczaniu historji, z powodu zamierzonej reformy szkół średnich w Galicji, napisał Tadeusz Korzon. — Warszawa 1882.

Z TAJEMNIC WIOSKI.

NOWELLA

przez

SEWERA.

(Ciąg dalszy).

Błyskawice gzygzakami przecinały czarne chmury; — daleko — ledwie dosłyszane grzmoty zbliżały się. — Sara pomyślała o Mojżeszku i serce jej zabiło ze strachu, lecz w tej chwili przyszedł jej na myśl Josek.

— Każe on Ryfce krowę zapędzić, klucz znajdzie i izbę otworzy. — Pocieszona szła dalej, a myśli jej mknęły od dzieci do zarobku. Układając skargę szukała nowych dróg handlowych i nowych produktów zamiany.

W Szczurowej nie było bóżnicy, zaledwie szkoła — nie było i rabina; stary sześćdziesięcioletni Aron, powtórny wdowiec, przewodniczył w modlitwach i dawał za zezwoleniem rabina śluby.

Do niego biegła Sara, mimo że wiatr huczał, — roznosił tumany kurzu i stare liście z dębów obrywał. — Deszcz zaczął padać. — Zdyszana wpadła do domu piekarza — ozdobionego dwoma szyldami pasterki i pasterza w wieńcach róż na głowach.

Piekarz chodził po izbie chmurny. Czapkę nasadził na tył głowy, ręce włożył do kieszeni i gwizdał fałszywie.

Zaciekawił Sarę zły humor piekarza, — jakaś niewyraźna myśl błądziła po jej głowie.

— Co to panu jest, panie Pietraszkiewicz? — odezwała się stojąc we drzwiach. Taki pan i jeszcze się trapi.

Pietraszek lubiał być tytułowany Pietraszkiewiczem, o czem Sara wiedziała.

— Ciągnęli mnie do tej dziury, namawiali — usłuchałem głupiec — i wyjdę na dziada, — zawołał.

Myśli Sary zaczęły się powoli krystalizować.

— Mały zarobek? — spytała obojętnie.

— Co ty mówisz o zarobku, — dziesięć bochenków chleba i dwadzieścia bułek sprzedaję jak dzień długi. Wczoraj zmarnowałem pięć bochenków, dziś pięć, a bułki sam zjadam. — Bo cóż tu za dwory, — to dziady, nie panowie. — Zapakuję sakum-pak manatki i wrócę do Tarnowa.

Myśli Sary sformowały się w projekt dobrego interesu.

— Ależ dwory będą kupować. Pani Dołęzka, pani Zaborowska, pani z Woli — coby nie brały, tylko im trzeba zanieść. — I proboszcze, i organisty i profesory kupią.

— Będę ja im nosił, zobaczą mnie oni! — Jaśnie państwo a kupują po szóstce. Pokażę ja tym ajstokratom. — Piekarz lubiał się odgrażać.

— Po co nosić, można przecie posłać.

A kogo? — parobka będę umyślnie do noszenia trzymał?

— Może jabym spróbowała, — rzekła nieśmiało, a wargi jej drżały.

— A to se noś, — tylko ja nie borguję — rozumiesz?!

— O borgowanie nie idzie, a jaki będzie procent — wiele dla mnie?

— Co sobie utargujesz to twoje.

— Dziękuję, rzekła z uśmiechem szyderstwa — za to pozwolenie. — Pan piekarz mądry, ale i ja choć biedna żydówka nie głupia Więc dla mnie nic, za moją pracę za to, że będę pański chleb i bułki dźwigać i sprzedawać?

— Za jaką pracę? wołał Pietraszek. — Próżniaki, oszusty, darmozjady, pijący krew katolicką, — komu tu gadać o pracy!

— Dźwigaj pan sam panie Pietraszkiewicz, — odparła Sara z dumą, a będąc pewną zwycięztwa, czuła się obrażoną i wyszła.

Deszcz ustawał, słońce złociło nisko płynące po niebie chmury, a w kroplach wody rozsianych na zielonych łodygach zbóż, rozwieszało barwy tęczy. Sara biegła przez błonie układając plany. — Barwy tęcz rozsiane na kroplach deszczu nie rozweselały jej, — choć się uśmiechała pokazując słońcu swe białe, duże zęby. Sara rachowała, marzyła i uśmiechała się do marzeń swych ułożonych z samych cyfr.

— Jakto te szelmy zhardziały, — mówił pan Pietraszkiewicz do siebie, kładąc ręce do kieszeni, — plugastwo nie da do siebie słowa powiedzieć. Wytępić! — zawołał uderzając pięścią w stół. Zamyślił się... — Abo to w kraju jest jaki porządek, ład, żydy rozbijają na publicznych drogach, — człek musi stulić gębę i poddać się. A trzaśnij którego w pysk — to kryminał! Pietraszkiewicz podniósł ręce do góry — I jakże tu żydzi nie mają nad nami przewodzić?!!...

Tymczasem Sara dotarła do Szczurowy; zdyszana, zatrzymała się przed korzennym sklepikiem, — wyjęła z woreczka dwie szóstki i nieśmiało, z bijącem sercem przestąpiła próg małej, pokrzywionej, z wypaczonemi bokami chaty. — Przebiegła szybko sklep otwierając drzwi do niewielkiej, zapadłej w ziemię izdebki.

Przy oknie siedział w okularach Aron zagłębiony w talmudzie, spojrzał na Sarę szklannemi oczami powagi i dalej w spokoju czytał.

Sara stała chwil parę w milczeniu przy drzwiach ściskając w ręku dwie szóstki. Aron, przewodniczący w modlitwach całej gminie szczurowskiej i rozrzuconym na kilku wioskach żydom, czytał dalej. Wezbrane żalem serce Sary nie mogło dłużej wytrzymać.

— Sprawiedliwości! — zawołała. — Aron położył rękę na księdze i odwrócił głowę. Wtedy Sara wyrzuciła z przepełnionego żalem serca lawinę gorących słów, a Aron patrzył i milczał. Czarne duże oczy, rzucające pełne blasku płomienie, grube, świeże usta, zęby białe, policzki zarumienione gniewem, musiały zrobić na nim wrażenie. Uśmiechał się, głową kiwał i palcami z lekka przebierał.

Skoczyła ciężko wzdychając. Piersi jej wznosiły się w takt przyspieszonego oddechu, — a Aron patrzył przymrużonemi oczami, głową kiwał, palcami przebierał i milczał.

Nieśmiało zbliżyła się kładąc dwie szóstki na świętej księdze.

— Dam więcej — szepnęła — jak tylko oczy moje przestaną patrzeć na niego. — Dam więcej, odbiorę od ludzi, przyniosę.

— Weź to, — rzekł Aron z powagą. — Dużo masz u ludzi?

Sara z chciwością pochwyciła srebrne pieniążki.

— Ze dwa sta, — rzekła z dumą.

— A co więcej?

— Chata, krowa, trzydzieści gęsi, troje dzieci, pięć guldenów w towarze i dwadzieścia do roboty.

Aron kiwnął głową.

— Do Szczurowy się nie przeniesiesz?

— Ach nie! Błonie w Dołędze to mój majątek.

Aron uśmiechnął się łaskawie.

— Niech o n tu przyjdzie, — syn tego wyklętego a p o k o r s y (1).

To o n oznaczało Zyzmę.

— Nie, o n nie przyjdzie — rzekła stanowczo Sara. — On się nie zlęknie i samego rabina.

Aron się zachmurzył. Sara umyślnie drażniła jego ambicję.

— Nie wejdzie więcej do twego domu, — rzekł z wielką powagą.

Sara odetchnęła, — otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się. Aron kiwnął na nią palcem... podeszła bliżej. — Wtedy dygnitarz ujął rumianą jej twarz w dwa palce i — rzekł łaskawie:

— Może ty będziesz żoną Arona, gdy tego Bóg i Aron zechcą....

— Nie, nie będę żoną Arona, — zawołała biegnąc drogą z powrotem. — Nie będę pracować na starego grzyba. — Ja mam swoje dzieci i dla nich chcę mieć dużo...

Kiedy ja się doczekam, żebym pierwszego guldena na procent dała. . Ach! Zyzma żebyś ty sądnego dnia nie zobaczył.

Biegnąc wstrząsała rozpaczliwie rękami.

— Stary łakomi się na dwa sta i na moją młodość...

Uśmiechnęła się troszkę z radości nad swą urodą.

We drzwiach piekarni stał pan Pietraszkiewicz trzymając z fantazją ręce w kieszeniach a czapkę na tyle głowy. Sara udała, że go nie widzi.

— No cóż? — zawołał.

— Żydy szachry, noś pan panie Pietraszkiewicz sam.

— A wiele chcesz?

— Dwadzieścia zarobkowego od guldena — płacę za towar z góry.

— Ha, ha, — Pietraszkiewicz zaczął się śmiać. — Ze skóry radzibyście obedrzeć człowieka.

— Cóżto chcesz pan żebym darmo pracowała? Dźwigać tyle chleba po takim upale! — Żydowska praca, a to mi praca! I to w żywe oczy śmieć mi mówić o ciężkiej pracy, kto żydówka?! ha, ha!

— Noś sam panie Pietraszkiewicz. Niechno jegomość nie będzie taki wielki pan!

Sara się zawróciła idąc spiesznie.

— Dziesiątka od papierka i więcej nie dam żebyś skonała.

Pietraszkiewicz wszedł do izby trzaskając drzwiami z oburzenia. Sara postała chwilę i wolno, strojąc frasobliwą minę zbliżyła się do okna.

— Bóg mi świadkiem, co się muszę za szóstką nalatać — rzekła smutnie.

Pietraszkiewicz się nadął, postawił marsa i milczał.

— Jutro przyjdę po chleb. Na początek wezmę za dwa papierki.

— Tylko rano! — krzyknął.

— No, no, to moja rzecz, a jegomość nie bądź taki wielki pan.

— A ty taka harda, bo ci buzię zamknę, zobaczysz!

Podniosę chleb o grajcara, żydówkę zapłacę i na tem zarobię jeszcze trzydzieści centów dziennie.

— Trza było brać kiedy taniej dawałem — zawołał zwracając się w stronę dworów. — A to pijawki żydowskie! Tak się do mnie przypięła, że rady sobie dać nie mogłem.

Pietraszkiewicz lubił się skarżyć, chwalić i grozić.

Sara zamyślona wracała przez Włoszyn do domu.

— Przecież we dworze dadzą mi za drogę. Dziennie utarguję za trzy papierki, trzydzieści centów dla mnie. Ciężko dźwigać tyle chleba, ale ja się nie boję pracy tam, gdzie idzie o zarobek i dzieci moje.

Stanęła na moście rzucając wzrokiem ciekawie na wał. I zobaczyła Joska poważnie stojącego na warcie i małą Ryfkę pasącą krowę

Syn przywołał do siebie matkę.

— Nie uciekaliście przed burzą? — pytała.

— Nie — odparł Josek z powagą rabina. — Ryfka poszła pod most, a ja do chaty po płachtę na chwast.

— Mojżesz! — zawołała wystraszona.

— Bawi się; dałem mu grochu do rachowania. Niech się uczy.

Sara kiwała głową z podziwu nad wielkością syna.

Słońce zstępując do snu, rozrzuciło dokoła świetlaną purpurę. W złocistych barwach kąpały się drzewa, malowany most i zielone błonie — za niem białe chaty i lasek olszyny.

Sara rozpostarła do światła płachtę, rachując na niej dziury. Josek z dumą trącił matkę, pokazując na wypasioną krowę, jako na swe dzieło. Nie widziała tego Ryfka, wyszukując z pilnością kępek najlepszych traw dla Łaciatej. A gdyby i widziała nie dziwiłaby się, gdyż nauczono ją korzyć się przed mądrością brata. Josek panował nad sercem matki i umysłem Ryfki.

Wrócili; Ryfka z Łaciatą naprzód, za nią matka z Joskiem.

— Mamo, polowy w Zaborowiu — odezwał się cicho syn.

— Widziałeś?

— Ja na wszystko patrzę, ja nie próżnuję!

To mówiąc wydobył z za chałata sierp i podał go matce.

Dzieci pomknęły do chaty pędząc przed sobą krowę.

Sara skręciła na dworskie pola rwać chwast. Uwiązawszy u szyi płachtę, przykucnęła oglądając się ciekawie dokoła.

Bydło wracało, za niem śmiejąc się i skacząc biegły dzieci. Pługi skrzypiały ciągnione przez poważne woły, fornalki wyprzęgnięte z bron truchtem, uderzając w takt o twardą drogę gościńca spieszyły do stajni.

Sara czekała na ciszę, w ciszy czuła się bezpieczniejszą, wtedy mogła z łatwością łowić każdy szelest ostrzegający ją o bliskości nieprzyjaciela.

Słońce zaszło i oprócz muzyki wiosennego wieczoru nic słychać nie było. Sara pochwyciła ostry, świecący sierp, a czając się przy samej ziemi, dopadła do bujnie rosnącej wyki.

(1) Wyraz ten u husytów równoważy z wyrazem bezwyznaniowiec.

wyki. Uklękła, pochyliła się i z gorączkowym pospiechem zaczęła żąć. Co chwila przestawała, co chwila oglądała się, nasłuchując z wyciągniętą szyją. Płachta rosła, zajdy robiły się wielkie jak góra. I jakże się tu pokazać światu z taką górą na grzbiecie? Poradziła jednak sobie, dobiegła do Rudawy, zsunęła się do głębokiego jej koryta i brnąc po płytkiej wodzie, wydobyła się na brzeg przed własną chatą.

— Mamo, a jak jutro przyjdzie rewizja? — spytał filuternie Josek chcąc się zabezpieczyć.

— Cicho, cicho, na świtaniu znaku nie będzie. A któż tam biednym da?! Bóg manny nie ześle... Żydzi szachry, złodzieje! Biednego żyda psami się szczuje, bogatego sadzają na kanapie. Gojom nie zabraknie.

— Tak, mamo, im nie zabraknie — poświadczył Josek.

— A my musimy mieć — słyszysz Josele?

— Słyszę — rzekł Josek.

— Ja się zapracuję, ale ty musisz mieć dużo, rozumiesz?

— Muszę — szepnął Josek — dużo — powtórzył.

— Bo inaczej w twarz będą ci pluć — zawyrokowała.

Matka doiła Łaciatą, a dzieci usiadły na progu obórki.

Ryfka posadziła Mojżeszka na kolanach, Josek oparł głowę na łokciach i śledził ruchy matki, ucząc się uważać ją za niewolnicę, której jedyną racją bytu było dostarczenie mu dużo pieniędzy.

Przyzwyczajał się doglądać i rozkazywać jej. Josele był mądry, on pracował za wszystkich głową! Pracował, bo myślał.

II.

Z workiem na plecach, chałatem i butami na kiju, a koszem w ręku, stanął Zyzma przed chatą Zawrzykrajki i dopiero tu uczuł potrzebę obejrzeć się. Zaledwie było po południu, słońce paliło, żywej duszy na drodze, i dlatego wszedł do izby niebieskookiej, uśmiechniętej dziewczynki.

— Wiesz Zyzma — szczebiotała — miałam ci odrobinę mąki i z tem jajem coś mi go dał zagniotłam zacierków. Schowałam je dla matusi, ale ty może będziesz jadł? Pojedz se, bo pewno daleko idziesz. O i jabym ochotnie leciała, ale cóż muszę pilnować chaty i krowiny — jedną tylko mamy.

Kasia postawiła przed Zyzmą miskę do połowy napełnioną zacierkami, pogłaskała go ręką po twarzy i podała mu łyżkę.

Zyzma się uśmiechnął, palce kurczył i prostował, nogi wyciągnął układając się wygodnie na ławie.

Podaną przez Kasię łyżkę położył na stole. Dobrze mu tu było, głaskano go, śmiano się do niego, radzi mu byli.

— Zacierkę schowaj dla matki.

Kasia wstawiła ją do pieca.

— To tybyś ze mną poleciała?

— A cobym nie miała lecieć, a cóż to nam dziś za rozkosz, bieda żeby i siekierą nie uciął.

— A matusia?

— Wyglądaliby mnie i wróciłabym, a wtedy może byłoby u nas i lepiej! Mój Boże taki majątek i wszystko poszło marnie!

I Kasia zwyczajem starszych gospodyń zaczęła smutnie wstrząsać głową, podparłszy ją ręką.

Żyd się uśmiechnął z tej udanej frasobliwości dziewczynki.

— A gdybyśmy nie wrócili? — spytał.

— Dlaczego nie mielibyśmy wrócić? Jak matusia grunt odbiorą, to przecie będzie nam lepiej.

— Musicie skończyć z tym gruntem. Czy to prawda że był przepisany dla ciebie?

— A dla kogóż? Toć ja jedna, jedyna u ojców.

— Kiedy tak, to ja tę sprawę wezmę w swe ręce.

— O weźcież, weźcie, mój Zyzma, bo matusia mówią, że jak żyd co chwyci w pazury, to zaraz idzie raźniej. Weźcie, weźcie, mój Zyzma w te swoje pazury, to nas pewno z biedy wyciągniecie.

Uśmiechnął się Zyzma z wiary dziewczynki co do siły żydowskich pazurów. Patrzał na nią oczyma rozespanego kota, czatującego na świergocące ptaszki.

— Wrócę migiem ino Wtoruchę wygnam na pole — zawołała Kasia i wybiegła.

Zyzma wyciągnął się na ławie, podłożywszy pod głowę chałat. Zamrużył oczy i marzył rozkosznie o wielkim majątku, który musi zrobić, o żyznym gruncie i o pięknej Kasi. Wyobrażał ją sobie jaką będzie za lat trzy, cztery, pięć. Wtedy sprzeda jej grunt a w mieście sklep założy. Będzie pan, ludzie go muszą szanować, musi mieć dużo pieniędzy i pewnie będzie szczęśliwy.

Kasia zajrzała do izby i cicho się z niej wysunęła.

— A niech się biedny żydzina zdrzemnie — myślała biegnąc naprzeciwko matki — on mnie tak lubi. Z matką się swoją kłóci, ale mnie lubi. Bo i ja go lubię. To się zaśmieje, to zagada, to co przyniesie, podaruje. I choć żyd zawsze dobry.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

To zupełnie inna kwestja!

Ci chłopi to dziwna rasa!
Wszelki zapał do oświaty
Coraz bardziej w nich przygasa,
Propagandy, systematy,
Ankiety, stowarzyszenia...
Wszystko idzie jak z kamienia.

Wczoraj chcąc obejrzeć studnię,
Idę — stoi chłop przy chacie;
Więc mówię mu: Dobre południe,
Iwanie, jak się miewacie?
I gawędząc z nim troszeczkę,
Ofiaruję mu książeczkę.

Kładę w głowę jak łopatą,
Że są ciemni i niedbali,
Że jedyny środek na to,
Żeby książki kupowali;
Że to nie jest żaden zbytek
A przyjemność i pożytek...

W końcu pytam: Cóż Iwanie?
A on mówi z kwaśnym gestem:
Prawda to, wielmożny panie,
Tylko że ja głodny jestem.
Głodny! co za dzika bestja!
To zupełnie inna kwestja!

M. Rodoć.

Wiek i jego prawa
w wychowaniu.

przez

Ludwika Hodolego.

Wpływ ciała na duszę, który nam wykazuje psychologia w tysiącznych wypadkach objawia się także i w tem, że w miarę jak ciało powstaje, wzrasta, doskonali się i podupada, także i dusza przebywa analogiczne stadja rozwoju. Fizycznej niemocy dziecięcia odpowiada jego bezradność i nieczynność umysłowa; młodzieńczemu rozkwitowi sił i piękności cielesnej odpowiada owo usposobienie, co to „ideałami żyje, miłością gotowe cały świat objąć“ a polotem fantazji najwyżej wzlatuje; wraz z redukcją wreszcie sił cielesnych marnieją u starca i siły umysłowe. Wiek jest więc nietylko miarą sił fizycznych ale i umysłowych, on podaje nam owo kryterjum, czy pewna czynność przechodzi siły i zdolności nasze lub stępić je nawet może, czy też przyczynia się do rozwoju postępowego. Metoda nauki o tyle tylko może być skuteczną, o ile dokładnie zastosowana jest do wieku ucznia, tylko taka bowiem metoda liczy się z siłami i skłonnościami jego i zważa na dyspozycję czyli sposobność ucznia do wymogów wychowania.

Mimo przerażającej nieznajomości zasad pedagogicznych, jaka panuje w sferach, które najwięcej winneby się w tej mierze nauczyć

czegoś, mimo że trudno spotkać rodziców, którzyby zrozumieli, że wychowanie dzieci nie jest rzeczą pozostawioną ich dowolności i szukaniu po omacku sposobu, jak sobie „dać radę z dziećmi“, lecz że jest wiedzą, którejby się im uczyć wypadało, mimo więc takiego ogólnego niemal zaniedbania nauki pedagogii wśród wychowawców dzieci, spotykamy przecież często w potocznej mowie zdania, które świadczą, że pedagogiczne prawo stosowania nauki do wieku jest nawet wśród obskurantów uznanem, rzecz inna jednak, o ile i jak te ogólne zasady bywają w szczegółach przestrzegane. Często słyszymy np. takie zdania: „To jest nad wiek ucznia“, albo „ta książka jest niestosowną dla twego wieku“, albo „to dziecko jest nad swój wiek mądre“, albo „on wyrośnie z tego, — przyjdzie czas a nabierze on rozumu“ (zasada w gruncie naturalna, jak i poprzednie ale często mylnie rozumiana i wyradzająca się w zbytnią pobłażliwość pod względem naukowym lub moralnym).

Podobnie i w wychowaniu fizycznem mówią często, że to a to np. ćwiczenie gimnastyczne nie jest stosownem dla dziecka lub młodzieńca. Mamy np. osobne ubiory dziecinne, ale nie na to, aby lepiej odpowiadały konstytucji dzieci i jej wymogom, lecz na to, aby zrobić z nich cudackie lalki i pajace i przyzwyczajać do wybredności w ubiorze, do błyszczenia powierzchownością na wzór Indjan, świecidełkami i niepotrzebnymi gałgankami obwieszonych. W hygenie jedzenia i picia robią w potocznem życiu także pewne różnice wieku, tak co do ilości jak i jakości potraw, zwykle jednak najdziksze krążą tu zdania. I tak np. kiedy rodzice albo i starsze dzieci zajadają sobie smaczne, pożywne potrawy, to młodsze karmią klejiczkami i innemi aż zbyt, jakby dla chorych, lekkiemi potrawami, albo jeżeli już nie chcą „prowadzić dwu stołów“, to o tyle przestrzegają wymogi wieku, że nie dadzą dziecku tyle zjeść, ile ono potrzebuje dla zaspokojenia głodu tak, że ono zmuszonem jest zaraz po obiedzie ukradkiem „łasować“. Stąd to przy stole owe ciągłe wojny z dziećmi, stąd to pochodzi, że rodzice, zbyt bojący się „przeładowania żołądka“ dzieci (najczęściej jednak ze skąpstwa) dają dopiero płaczem tychże zdobywać od siebie niemal każdy kęs chleba. Specjalnością dzieci są dalej cukierki, pierniki i różne słodycze, któremi się je karmi sowicie mimo ciągłych narzekań, że to „wzburza robaki“. Zabawnem jest także, jak to niektórzy rodzice ukrywają przed dziećmi swe nałogi. Zamiast wytłumaczyć dzieciom, że kawa jest szkodliwą, piją ją a dzieciom dają mleko, obiecując im, że jak podrosną, to dostaną także kawę. To nie szkodliwy nałóg więc, lecz postęp, jaki wiek przynosi! Lecz co dalej! Dla podsycenia próżności dowodzą dzieciom, że „mleko lub bratki podtrzymują piękną płeć“! To nie dla zdrowia i tylko dla zdrowia, to środek kosmetyczny! Podobnie ma się rzecz z tytoniem, który „można palić tylko starszym“, którego palenia nie potępia się więc zawsze i wszędzie, lecz stawia jako idealny przywilej starszych.

W hodegetyce, czyli sposobie prowadzenia dzieci znajdujemy także w życiu codziennem rozmaite stopnie kar wedle wieku dziecka. I tu wzdrygać się często przychodzi, jak dziwacznych albo nawet barbarzyńskich środków używają rodzice. I tak, dla małego, dziecka niczem jest powaga rodziców w obec kominiarza lub dziada, którego postrach ukróca największe wybryki. Jest to najwymowniejsze świadectwo nieudolności rodziców, kiedy byle kominiarz lub dziad może mieć więcej wpływu na dzieci, niż oni sami. Niestety postępowanie takie jest tak zakorzenione, że próżno siliłem się zwykle na wykazanie jego niedorzeczności, gdyż powoływano mi się na to, że „to taki ogólny zwyczaj“, usiłując tym czczym frazesem, jak i gdzie indziej, pokryć każde głupstwo panującej mody. W logicznej konsekwencji tej pierwszej niedorzeczności, wysuwają rodzice z postępem wieku dziecka nową powagę w formie rózgi, starając się dla niej wzbudzić u dzieci nietylko bojaźń, lecz także szacunek, ponieważ często każą dzieciom ją nawet całować! Z rózgi awansują dzieci z wiekiem na rozmaite harapy, trzcinki i t. d. aż wreszcie, gdy nabiorą sił i zbyt borykają się z rodzicami, na kije, wyliczane przy pomocy stróżów. Po tych operacjach „energiczniejsi“ odgrywają z dziećmi jeszcze nową tragikomedję, każą się bowiem zbitemu dziecku przepraszać, całować, zapewniać o miłości i t. d., jak gdyby mogło istnieć między nimi przywiązanie. Że takie kijem zdobyte wyznania miłości na nic się zdać nie mogą, jak tylko do popsucia dzieci, widzimy na tak prowadzonych dzieciach, które są zawsze „niepoprawnemi i niewdzięcznemi“. Nie miejsce tu rozważać barbarzyńskość kar cielesnych, zniesionych już nawet w kryminalistyce, konstatujemy więc tylko, że zamiast owego stopniowania tęgości przyrządów do obbijania dzieci należałoby stopniowo coraz więcej pracować nad przywiązaniem ich do siebie bo dla osoby, prawdziwie ukochanej, zrobi dziecko wszystko. Nie dla kominiarza lub dziada mają być dzieci grzecznemi, nie dla rózgi lub kija mają się one uczyć; największą i najlepszą powagą jest miłość dla rodziców — ich rzeczą, ich sztuką jest pozyskać bezwzględne przywiązanie dzieci. Jeżeli tego nie zdołali dokazać albo i nie chcieli (ileżto jest dzieci faktycznie bez powodu nielubianych przez rodziców?) niechże się nie skarżą na dzieci, bo za obojętność lub sekatury nikt nie płaci miłością. Nie mówię tego w ferworze oratorskim, nie liczącym się z rzeczywistością i nie idealizuję jej wcale, gdyż w swej praktyce pedagogicznej prowadziłem kilkakrotnie uczniów, uważanych już za „straconych, niepoprawnych lampartów“, i t. d. i mimo że ze strony rodziców miałem przyrzeczoną tylko pomoc do bicia bo na nic więcej liczyć nie mogłem, zdołałem przecież — ale bez kija — do tego stopnia pozyskać przywiązanie chłopców, że jak w zachowaniu, jak i w nauce, „poprawili się do niepoznania“. Dodać jednak muszę, com się od takich uczniów dowiadywał z czasem drogą pośrednią lub bezpośrednią: oto wyraźnie się zastrzegali, że wszystko, co robią robią tylko dla mnie, ale nie dla rodziców! Kto temu winien? Czyż zawsze takie dzieci są „tak z gruntu zepsute, że z nich nic nie będzie“, jak to prorokują, czy też przeciwnie rodzice lub nauczyciele są tak w swej nieudolności niepoprawni, że zaprzepaszczają charakter i zdolności dziecka? Z natury złem ani dobrem dziecko się nie rodzi, ale można je zrobić złem przez złe kierownictwo! Owszem nawet przez wychowawców zepsute już dziecko da się poprawić pod należytem kierownictwem, trzeba tylko więcej miłości dla niego, trzeba więcej studjować pedagogię, niż wytrzymałość rózeg i kijów! Niestety jednak rzecz ciągle stoi na tem, że za najlepsze uważa się w domach wychowanie „żelazne“ t. j. takie, gdzie dziecko ciągle drży z obawy przed chłostą a rodzice się wiecznie chmurzą. Gdy mimo to a raczej przez to wychowaniec schodzi na bezdroża w późniejszem życiu, to daje się słyszeć „pedagogiczna“ uwaga, że „za mało go bito za młodu“. Tak to wyrobiło się dziwaczne a nawet barbarzyńsko dzikie zdanie, że młodość jest wiekiem, wymagającym koniecznie chłosty cielesnej, że kij (nie książka) jest nieuniknionym towarzyszem rodziców w wychowaniu dzieci, że kij jest ową ostateczną powagą, przed którą jedynie tylko dziecko się ukorzy. To też rzeczywiście wychowanie domowe schodzi często na cyrkowe tresowanie batami! Smutno zaiste byłoby z ludźmi, gdyby musieli przebywać podobne zwierzęce stadja rozwoju!

Na wielu takich i tym podobnych przykładach widzimy więc, że nawet ludzie, którzy postępują z dziećmi nie podług stałych zasad, lecz podług chwilowego humoru, przecież starają się w wychowaniu uwzględnić wiek dziecka, i że wraz z wiekiem też zaprowadzają coraz nowe zmiany w wychowaniu, na nieszczęście jednak zwykle błędne. Skoro więc potrzeba uwzględniania wieku

wychowańca nawet w takich sferach odczutą bywa, o ileż więcej uwagi musieli zwracać na to pedagogowie, którzy żadnego momentu pominąć nie mogą i w umiejętny system ujmują wszystko, co się odnosi do wychowania.

Jakoż od najdawniejszych czasów metoda nauki bywała stosowaną do wieku uczniów a to z tej prostej konieczności, że cała przystępność lub nieprzystępność pewnych gałęzi nauk dla uczniów jest ściśle zawisłą od ich wieku. Jeżeli nauczyciel chce być zrozumiałym dla swych uczniów, musi się zniżyć do poziomu ich wieku, inaczej będzie im prawił „tureckie kazania" i wymagał od nich tego co przechodzi granice ich sił. Z drugiej strony musi nauka z postępem wieku ucznia wzrastać w ścisłości, inaczej sam młodzieniec będzie się skarżyć, że go „uczą a raczej nudzą dziecinnemi zabawkami".

Zasadę tę uwzględniali zawsze nauczyciele z konieczności, bo inaczej wychowanie nie jest możebnem, wadliwość jednak dotychczasowych metod polegała na tem, że nie stosowały one ściśle do szczegółów tego, co przyjmowały za zasadę ogólną. Ogólny zarys naszego dzisiejszego systemu wychowania wskazuje nam także ową myśl przewodnią, w szczegółach jednak brak mu wykończenia (a cóż jest już dzisiaj wykończonem ?), to też omawiając ogólne prawidła [w] tym kierunku, będziemy się starać o [do]tknięcie pewnych niewłaściwości.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROZCZAROWANY.

Nowella wenecka przez Tally-Ho.

(przekład z francuskiego).

(Ciąg dalszy).

Nie straciłem jednak zupełnie nadziei; [dl]atego też wieczorem jeszcze przysposobi[łe]m wszystko co było potrzebnem do odpo[wi]edniego przyjęcia nieznajomej; nazajutrz [ra]ś o świcie posłałem bilecik do jednego [z m]oich przyjaciół, przepraszając go, że nie [mo]gę wziąć udziału w umówionej przed [kil]ku dniami wspólnej wycieczce — i tak [przy]gotowany, postanowiłem czekać cierpli[wi]e.

Zaledwie skończywszy śniadanie, usia[dłe]m na balkonie z cygaretem w ustach, [gd]y przed domem zatrzymała się gondola [w] której znajdowała się kobieta, zawoalowa[na] podług miejscowego zwyczaju. Przeczu[ci]e szepnęło mi, że to moja nieznajoma, i [ni]e myliłem się. Gondola przybiła do brze[gu], i usłyszałem wyraźnie głos przybyłej, [po]lecającej gondolierowi, by z pewnością po[cz]ekał za godzinę; był to melodyjny głos [m]ojej świętej Katarzyny.

Zbiegłem pospiesznie na dół, aby ją powitać i wskazać drogę do mojej pracowni.

— Czyliż zdołam kiedykolwiek wywdzięczyć się signorze za tyle łaski! przemówiłem skoro zajęła miejsce w fotelu.

— Nie zasłużyłam na żadną wdzięczność — odpowiedziała mi rumieniąc się. Owszem to pan wyświadczasz mi łaskę, uznając rysy moje godnemi oblicza świętej kobiety.

Podczas gdy to mówiła, oczy jej zajaśniały blaskiem przelotnym, ale spuściła je zaraz; twarz jej napowrót przybrała zwykły anielski wyraz.

Na zapytanie moje czy zezwoli, abym rzucił pierwsze rysy na płótno, zgodziła się tak chętnie, iż nie trudno było odgadnąć, że propozycja moja pochlebiała jej próżności. Prosiła mię przytem, o wskazanie jej właściwej pozycji, zapewniając że gotowa jest wszystko uczynić o ile będzie mogła najlepiej.

Zdjęła następnie mantylę, a gdym zwrócił jej uwagę na konieczność rozpuszczenia włosów, bez najmniejszego wahania odwiązała aksamitną wstążkę, wpleciona w warkocze, i strumień przepysznych czarnych włosów spłynął na jej ramiona i piersi. Trzeba było wielkiej siły woli z mej strony, aby widząc ją tak cudownie piękną w tych pełnych życia hebanowych ramkach, patrzeć li tylko okiem artysty. Zdołałem wszakże zapanować nad sobą, o tyle jednak, że przysposabiając paletę, powiedziałem jej kilka komplementów, tchnących namiętnem uwielbieniem, czem wcale nie zdawała się być urażoną.

Przez całą godzinę, gdyż tak długo trwało pierwsze posiedzenie, zachowała ów niebiański wyraz twarzy, który usiłowałem przenieść na płótno Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się spotkać tak uprzejmego i doskonałego modelu, co też nasunęło mi podejrzenie, że piękna nieznajoma mo'a, nie pierwszy już raz musiała pozować w malarskiej pracowni.

Dziękując jej za okazaną mi grzeczność, zagadnąłem ją znienacka, o ile domysł mój był prawdziwym; odpowiedziała mi na to, że nie tylko poraz pierwszy znajduje się w pracowni artysty, ale że dotąd do własnego nawet nie pozowała portretu.

— Tem więcej — rzekłem z całą galanterją — umiem ocenić szczęście które mię spotkało dzisiaj — i chciej mi wierzyć signora, że jeśli obraz mój nie będzie arcydziełem, jakiem go mieć pragnę, będzie to tylko dowodem nieudolności mojej wiernego skopiowania tak cudownie pięknego modelu.

I ten komplement przyjęła z równą jak poprzednie obojętnością. Zlekka tylko zarumieniła się, i przelotny uśmiech rozjaśnił jej lica.

Przy pożegnaniu zapewniła mnie jeszcze, że nazajutrz przybędzie o tej samej porze, i sprowadzona przezemnie na dół, wsiadła do czekającej już przed domem gondoli.

Muszę wyznać, że znajomość ta wywarła na mnie pewne wrażenie. Wyobrażałem już sobie, że jestem bohaterem romansu, co nawet było bardzo prawdopodobnem w obec tajemniczości, jaką otaczał się ciągle mój piękny model świętej Katarzyny. Nie powiedziała mi dotąd ani swojego imienia, ani jednego słowa mającego wyjaśnić jej stosunki. Prawda i to, żem jej nie zapytał wcale ani o nią samą, ani o jej męża.

Następnego dnia gondola zatrzymała się znowu przed mojem mieszkaniem, i znowu przez całą godzinę miałem przed memi oczyma zachwycający model z rozpuszczonemi włosami i czarnemi rzęsami, rzucającemi czarowny cień na lica. Następnie rozmawialiśmy znacznie dłużej niż wczoraj, ale także bez najmniejszej wzmianki o mężu.

Na wychodnem uprzedziła mię, że dwa dni nie będę jej widział. Odpowiedziałem na to, iż jakkolwiek nie przerwie to pracy mojej nad obrazem, z niecierpliwością liczyć będę minuty i sekundy oddzielające mnie od chwili, w której zechce uszczęśliwić mą pracownię swoją obecnością. Zarumieniła się i z czarującym uśmiechem zasłoniła się woalem.

W ciągu tych dwu dni dopiero przekonałem się, jak drogocennym mi był ten najświeższy utwór mojego pendzla. Cały prawie czas osamotnienia spędziłem na wykończeniu naszkicowanych rysów, a co ważniejsza, iż model tak silnie podziałał na moją wyobraźnię, iż czułem się w możności sportretować go z pamięci.

W istocie, jak zakochany, liczyłem upływające minuty, a gdy na trzeci dzień spostrzegłem nareszcie nadpływającą gondolę, nie miałem odwagi zejść na dół, aby nie zdradzić gwałtownego wzruszenia.

Kiedym ją ujrzał siedzącą na zwykłem miejscu, zdawała mi się cokolwiek tkliwszą niż dotąd. Powiedziała mi, że dwa dni ubiegłe wydały się jej niezmiernie długiemi, — z czego korzystając i ja nadmieniłem, co zresztą była prawda, o mojej tęsknocie, łagodzonej jedynie wpatrywaniem się w anielskie jej rysy, jakkolwiek tak niedokładnie naszkicowane. Tego dnia rozstaliśmy się później niż zwykle, i nie mogłem zataić tego przed sobą samym, iż dziwny nasz stosunek zaczął przybierać nader romantyczne formy.

Nazajutrz przybyła do mnie, ale w zupełnie odmiennem usposobieniu.

Wszedłszy, ni podała mi ręki na powitanie, rzuciła się w fotel i gwałtownym wybuchła płaczem. Nie pojmując wcale co to ma znaczyć, zbliżyłem się, dotknąłem zlekka jej ramienia, i zapytałem o łez tych przyczynę.

— Nie pozwoliłaś mi pani nawet uścisnąć swej dłoni — rzekłem. Do żadnej przecież nie poczuwam się winy. Powiedz mi signora, błagam cię, wszakże nie ja jestem powodem twojej boleści?

Zerwała się z miejsca i silnie ścisnęła mą rękę mówiąc:

— O nie! z pewnością nie pan! Zbyt dobrym i szlachetnym pan jesteś, abyś mógł coś podobnego uczynić!

Następnie otarła łzy, a oczy jej zajaśniały jakimś niezwykłym blaskiem.

— O nie! nie pan! — zawołała zarzucając w tył włosy... nie... to on... ten zwierz dziki... bydlę..! on mnie podejrzywa, oskarża mnie o... grozi mi, że mnie zabije, jeśli ośmielę się powrócić!.. O Matko najświętsza! to bydlę chce mnie zabić, kiedy artysta robi ze mnie świętą Katarzynę!

Zaczęła śmiać się konwulsyjnie, a rysy jej przybrały wyraz wcale nieodpowiedni dla modelu świętej. Z dawnej słodyczy nie pozostało ani cienia śladu, owszem, rozogniona twarz jej miała w sobie coś przestraszającego.

— I o cóż panią posądza? zapytałem.

— O co?.. Albożon sam wie, o co?.. Powiedziałam panu, że to bydlę, nie człowiek!.. Ale dosyć tego! nie mówmy o nim więcej... W tych dniach zemsta moja musi być nasyconą!... Dosyć już mam tego nikczemnego traktowania!.. Ileż to razy, mierząc do niego z pistoletu, pomyślałam, że tak łatwo możnaby go się pozbyć!...

— Z pistoletu! zawołałem.

Zadrżała i dziwny jakiś uśmiech zawitał na jej usta. Zjawił się i znikł jak błyskawica, a ona mówiła dalej.

— Ach! pan tego nie rozumiesz!.. To nie taki pistolet co zabija.. to tylko zabawka... złudzenie... Ale, proszę pana, dajmy już pokój temu! Santa Cattarina nas czeka... niechaj święte jej imię będzie błogosławione!

Usiadła i przybrała zwyczajną do portretowania pozę, poprawiając rozpuszczone włosy, łagodna i urocza, jakby co tylko niebiańskie opuściła sfery. Podziw mój dla tej oryginalnej istoty wzrastał z każdą chwilą, zachowałem jednakże tyle jeszcze zimnej krwi, iż czułem, że czem mniej będzie ona pozować na przyszłość, tem łatwiej wykończę obraz świętej, jaki sobie w myśli na podobieństwo jej rysów wytworzyłem.

Co do łagodności i słodyczy jej charakteru, rozczarowany byłem cokolwiek i niezadowolony sam z siebie; zdobyłem się zaledwie na kilka grzecznych słów przy pożegnaniu. — Ona sama zapewniła mnie, że nie będzie zważać na żadne przeszkody, i wizyt swych nie przerwie, a chociaż, dla formy, prosiłem ją, aby dotrzymała swej obietnicy, muszę wyznać, że słowom moim brakło szczerości, z wyjątkiem tego jednego może, gdy ją zapewniałem, iż obraz skończony będzie niebawem, i że zachowam go na zawsze jako pamiątkę jej uprzejmości.

Następnego poranku gondola nie podpłynęła pod mój balkon. Po wczorajszej scenie mogłem się był tego spodziewać, cały dzień jednak nie wychodziłem z domu, a pod wieczór wręczono mi bilecik, zawierający następujące słowa, skreślone cudacką jakąś ortografią:

„Zamknął mnie w mieszkaniu, okna są „zaś zbyt wysokie, aby można było przez „nie wyskoczyć. Wybił mnie i skopał noga„mi. Nie pierwszy to raz, ale przysięgam, „że ostatni. Musi umrzeć! Bądź pan ko„niecznie dziś wieczór w teatrze Doży.“

* * *

Oryginalną tę korespondencję przyniósł o zapadającym już zmierzchu jakiś gondolier, i natychmiast się oddalił. Na bilecie nie było żadnego podpisu ani najmniejszej wskazówki, przez kogo był pisany. Jedno tylko co było w nim zrozumiałe dla mnie, to zaproszenie do teatru, o którym słyszałem już wprawdzie nieraz, ale nigdy jeszcze w nim nie byłem. Reszta zaś o tyle była zagadkową, że na podstawie kilku słów wyrzeczonych wczoraj przez nieznajomą, mogłem wnioskować, że bilecik jej ręką jest skreślony. Bądź cobądź postanowiłem, nie tracąc czasu, pospieszyć na tak usilne zaproszenie, i wziąwszy gondolę popłynąłem do teatru Doży.

Stary to bardzo budynek i na zewnątrz prawie zupełnie zrujnowany, wnętrze jednak świeżo odrestaurowane, dość pokaźnie się przedstawiało. Nie powiem aby miał to być teatr pierwszorzędny, ale sala, tego wieczoru przynajmniej, była nieomal przepełnioną,

Przedstawienie dawno się rozpoczęło, przybyłem bowiem już po trzecim akcie. Grano okropny melodramat, pod tytułem „Córka bandyty,“ najeżony zabójstwami, pukaniną na scenie i za sceną, z wielką bitwą bandytów z żandarmami, jednem słowem obfitujący we wszystko, co może działać na nerwy najgrymaśniejszej publiczności.

Sztukę tę znałem poprzednio z niemieckich teatrów, i przyszło mi właśnie na myśl, że najtragiczniejszą sceną jest ostatni obraz, w którym „cnotliwa“ córka bandyty, pokonywa swego ojca, aby się połączyć z prześladowanym kochankiem.

Tej to sceny i dzisiejsza publiczność z gorączkową wyczekiwała niecierpliwością.

(Dokończenie nastąpi).

Aforyzmy o kobietach

zebrał Forward.

Mulier taceat in ecclesia.
(Niewiasta ma milczeć w kościele).

Św. Paweł.

* * *

Ono też trzeba postanowić, żeby białogłowy do spraw rzeczypospolitej nie były przypuszczane, które Bóg pod moc mężów poddał; Paweł im też w kościelech nauczać zabronił.

Bo jako wiele białogłowy w sprawach ludzkich zaszkodzić mogą, dosyć jaśnie okazała ona ze wszech stron najcudniejsza i najmędrsza Jewa, której rada wszystkiemu narodowi ludzkiemu zginienie przyniosła — i Piłata, starosty żydowskiego żona, która też radą swoją wszystkiego świata zbawienie przekazić chciała; a to one białogłowy dosyć zacne, a nie lada jakie, ale przedsię białogłowy były, to jest: zwierzęta słabe a które do błędu i do występku (jako Paweł świadczy) skłonniejsze są.

Andrzej Frycz Modrzewski.

* * *

Mąż jest głową rodziny.

Zakonnicy, młodzieńcy niżej lat 18, kobiety, obłąkani, ślepi, głusi i niemi, jakoteż tacy którzy języka testatora nie rozumią, nie mogą być świadkami przy sporządzaniu ostatniej woli.

Powszechna księga ustaw cywilnych.

* * *

Tota mulier in utero.
(Być matką — to jedyne zadanie kobiety).

Van Helmont.

* * *

O tak! niema wątpliwości, że w tajnikach naszej natury kochać i jeszcze kochać, to wszystko co nam zostało z naszego dziedzictwa niebieskiego.

Pani Stael.

* * *

Kobieta — to osoba chora.

Michelet.

* * *

Kobiety, jakkolwiek emancypowane już całkiem i porównane we wszystkich prawach z mężczyznami, nie mogą jeszcze się pozbyć swych starych przesądów, i stanowiąc „izbę niższą“ w obradach sejmowych stanowią też jedyną opozycję i tamę przeciw ab-

solutnemu panowaniu tego, co Izba wyższa, to jest męska, zowie „czystym rozumem,“ potępiając wszelkie uczucia....“

Adam Mickiewicz.

(Obrazek przyszłościowy wyjęty z niewydanej „Histoire de l'avenir,“ a podany przez A. E. Odyńca w „Listach podróży“.)

* * *

Twierdzę, że stosunek społeczeński obydwóch płci ludzkich, poddający jedną płeć drugiej, jest zły sam w sobie i tworzy dziś jedną z głównych przeszkód, hamujących postęp ludzkości; twierdzę, iż on ustąpić musi równości zupełnej, bez przywileju i przewagi dla jednej płci, a bez odsądzenia od zdolności drugiej.

Tak więc poddaństwo kobiet stoi jako odosobniony fakt pośród nowoczesnych instytucyj społecznych, jako jedyny wyłom w ich budowie fundamentalnej, jako jedyny zabytek minionych czasów, których poglądy i czyny pod każdym względem za przeżyte uważają, a tylko w jednym punkcie, a właśnie przedstawiającym najogólniejszy interes je podtrzymuje. Wygląda to tak, jak gdyby olbrzymi dolmen (ołtarz celtycki) lub wielka świątynia Zeusa olimpijskiego, wznosiła się tuż przy kościele świętego Pawła, i służyła dla codziennych nabożeństw, podczas gdyby okoliczne kościoły chrześciańskie otwierały się tylko w dni uroczyste.

Te same powody, dla których dziś już nie wydaje się koniecznem, aby ubogi był zawisłym od bogatego, przemawiają też zatem, aby kobieta przestała być zawisłą od mężczyzny.

John Stuart Mill.

* * *

Zupełne rozwiązanie kwestji kobiety — t. j. według mego rozumienia tak, iżby kobieta była ekonomicznie wolną i od mężczyzny niezawisłą, a zaś pod względem umysłowym ile możności równorzędną, — pośród dzisiejszych urządzeń społecznych jest niemożebnem.

Bebel.

* * *

„.... I dlatego według słów Apostoła (list do Efez X) jako Chrystus Głową jest kościoła, tak mąż głową jest niewiasty; i jako kościół podległy jest Chrystusowi, który go najczystszą i wieczną miłością obejmuje, tak niewiasty mężom winne być podległe.“

Papież Leon XIII.

Przegląd literacki.

(Jóźwa Szymczak, nowella Walerji Marrenée, Warszawa 1882 — str. 40.)

Nowe prądy, nurtujące coraz silniej świat cywilizowany, nie mogły pominąć i nie pominęły belletrystyki. Stara gwardja powieściopisarzy, obracających się dotychczas jedynie na woskowanych posadzkach, wśród wonnej atmosfery bogato przystrojonych salonów — przycicha z dniem każdym, chyba że który z nich, zorjentowawszy się rychło, na ochotnika porzuca dotychczasowe temata, i próbuje sił na nowem polu obserwacyjnem. Młodzi odrazu zaczęli swój debiut od tematów nowych. Wieś i jej mieszkańcy, lud roboczy miejski i wiejski — zaniedbywani — jak w każdym innym tak i w tym kierunku, przez kilka pokoleń pisarzy, naraz stali się ulubionem tłem ich studjów, mniej lub więcej udatnych, ale zawsze nawskróś realistycznych. Więc posypały się jak z rogu obfitości powieści i nowelle nowego kierunku; chata wieśniaka, opisana do najdrobniejszych szczegółów, bez pominięcia dziur w słomianej strzesze i szpar w ściankach lepionych, zastąpiła dawne długo męczone pałace i dworki szlacheckie — wieśniak — pokazywany dotychczas z daleka jako stafaż nieodzowny w krajobrazie, wyawansował na romansowego bohatera.

I dawniej przez pewien czas panował prąd podobny, była to jednak sentymentalna chłopomanja — bez realnych podstaw, a więc bez celu. Chłopi nasi, poprzebierani przez dawnych pisarzy za arkadyjskich pasterzy byli śmieszni. Obecnie inną obrano drogę. W realnej prawdzie widzą piękno i to nadaje nowemu kierunkowi stanowczą przewagą nad utworami dawnej szkoły.

Tych kilka uwag ogólnych nasunęła nam pod pióro najnowsza nowella p. Marrené p. t.: Jóźwa Szymczak. Autorka, jak wiadomo, dotychczas z powodzeniem uprawiała niwę powieściopisarską, a treścią jej prac były przeważnie studja — przyznać trzeba z drobiazgową sumiennością opracowane, nad kwestją małżeńską. Za przykładem genialnego Litwosa, Prusa, Swiętochowskiego Orzeszkowej, Sewera (jak widzimy zastęp wcale poważny!) którzy z niepospolitym talentem rozwijają przed oczyma czytelnika przecudowne — bo za serce chwytające i prawdziwe obrazki ludowe — p. W. Marrené przedstawiła nam wysoce dramatyczny fragment z życia wiejskiego.. Jest w nim wszystko, czego recepta wymaga — nieodzowna karczma z żydem wyzyskiwaczem, (od niej się nowella zaczyna), chałupa wiernie odmalowana — Jóźwa Szymczak jak z wszystkiego widać, pijak i nieroba — żona jego, nieszczęśliwa suchotnica, konająca powoli — dzieciak ogromnie mądry — pies Burek, (bardzo stary nasz znajomy) dwór wplątany epizodycznie widocznie dla siły kontrastu — słowem wiele materjału — brak tylko jednego — prawdy naturalnej, podpatrzonej i zchwyconej z bliska. Po przeczytaniu nowelli mimowoli przychodzi myśl, że autorka kiedyś w swem życiu przejeżdżając powozem przez jakąś wioskę, zasłyszała opowiadanie o owym Szymczaku — i w danej chwili — może w rok lub kilka lat potem, znalazł się temat na „modną“ sielankę. To też modna i tylko modna to sielanka, w całem tego słowa znaczeniu: robi wrażenie wychuchanej i wymuzianej panienki z dworu — przebranej dla kaprysu, w strój wiejskiej dziewuchy. Nie jedna ładnie wygląda w takim kostiumie — mimo to jednak kaprys zostanie kaprysem. Jóźwa Szymczak wygląda nam na taki kaprys.

Mimo to witamy panią Marenné na nowem polu i mamy nadzieję, że dalsze jej prace w tym kierunku zyskają na prawdzie i sile.

Stan. W.

(Goethe in Hauptzügen seines Lebens und Wirkens, gesammelte Abhandlungen von Adolph Schöll; Berlin, Hertz, 1882).

Jeszcze w r. 1862 i 3 pojawiła się w „Preusische Jahrbücher“ rozprawa pt. „Goethe als Staats und Geschäftsmann“, która zwróciła powszechną uwagę Niemiec na Adolfa Schölla. Od tego czasu w pismach i prywatnie zachęcali niemieccy literaci Schölla do dalszej pracy na tem polu, a owocem tego było kilka nowych prac biograficzno krytycznych o Goethem, drukowanych w rozmaitych czasopismach, a wydanych obecnie z dodaniem nowych studjów. Biograficzna ta mozajka powitana została z radością w Niemczech, może nawet z przesadnemi pochwałami, które jednak wytłómaczyć łatwo tem, że Niemcy dotychczas jeszcze niemogą zapomnieć, iż najlepszą biografię ich „narodowego geniusza“ napisał anglik Lewes, którego dzieła bądź co bądź chcieliby zastąpić inną pracą, napisaną przez jednego z krytyków niemieckich. Jest to duma naturalna w rezultacie szlachetna, toż im ją przebaczyć należy.

Praca Schölla spełnia po części to zadanie, a jakkolwiek składa się z rozpraw niewiążących się ze sobą ściśle, daje przecież pełny obraz życia i działania jednego z największych poetów świata, a zaczyna się od surowej chociaż sprawiedliwej krytyki biografii Lewesa, która dowodzi, że „ci czytelnicy, którzy do dzisiaj wierzą w Lewesa bezwarunkowo, za mało wiedzą o Goethem i potrzebują lepiej się z nim zapoznać.“ Szereg rozpraw zaczyna rozdział „Der junge

Goethe,“ w którym autor przebiega chłopięce i młodzieńcze lata poety i kończy na r. 1778. Następny rozdział mówi o stosunku Goethego do pani Stein, z którego się dowiadujemy, że ów list od Charlotty do Wilhelma w „Geschwister“ jest właśnie oryginalnym listem Lotty Stein do poety, jedynym jaki pozostał nam z tej zajmującej a zaginionej korespondencji. Inne rozdziały są nie mniej interesujące, a mianowicie rozprawa o stosunku Goethego do teatru, o wspólnej pracy z Schillerem, tudzież wybornie napisany rozdział o stosunkach wielkiego autora Fausta do krytyki, współczesnych prądów literackich i t. p. pod tytułem „Goethe in seinen Zeiten“, a w końcu wszystkie rozdziały poświęcone rozbiorowi dzieł Goethego.

W ogóle przyznać trzeba, że od czasu odczytów Grimma o Goethem i Vischera komentarza do Fausta, niepojawiło się o poecie niemieckim nic, coby na większą zasługiwało uwagę. Rzecz cała obok głębokości odznacza się nader barwnym i łatwym językiem, i z tego powodu możemy ją polecić każdemu, komu nieobojętną jest literatura niemiecka i posągowa postać autora „Werthera“.

A. Z.

ZIARNKA.

Na prowincji wylewy groźne, niszczące mienie tysięcy biednych ludzi, a we Lwowie posucha, straszna posucha — ale tylko na wiadomości. Pomimo, że od dawna ściągnęli się już do miasta wszyscy używający letniej willegiatury, pomimo obfitego zjazdu młodzieży ruch jest bardzo mało ożywiony. A nie mówimy tu o ruchu czysto fizycznym; proszę przejść się po głównych ulicach, szczególnie uczęszczanych przez płeć piękną (wyrażenie nie zawsze określające istotę rzeczy) a zobaczymy może aż zanadto ruchu.„ Mamy na myśli ruch umysłowy, a w tym kierunku nic prawie się nie dzieje — oprócz (wybaczcie łaskawi czytelnicy naszej skromności!), oprócz że „Ziarno“ sypie się obficie.., Niedawno jeszcze temu sprzeczano się namiętnie o własności azotu, który w połączeniu z dziennikarską krewkością wyrodził nawet pewne nieznane dotąd chemikom „kwasy“, polemizowano, czy powiew wiatru może co szkodzić światłu elektrycznemu, czy też nie, — ale i te „nader zajmujące kwestje“ skończyły się, i nastąpiła cisza... Garstka ludzi, którym zależy na czemś więcej, niż na samem zaspokojeniu fizycznych funkcyj, spogląda na siebie w ponurem zamyśleniu, szeptając: „Cicho wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie, co to będzie.“ Nie suszcież sobie nad tem głowy — coś być musi, ale wcale nie myślcie, aby tego „czegoś“ mogło być wiele. W teatrze będziemy mieli dzisiaj „Wojnę o tancerkę,“ jutro „Kawalera z fiołkami“ a następnego dnia znowu „Wojnę o tancerkę“, który to repertoar będzie od czasu do czasu okraszany bengalskim ogniem „Ojca Bema“ i naszą „poczciwą, narodową“ operą — bez operowych śpiewaków. Koncerty posypią się jak z rękawa; zjedzie się sporo pianistów, z których każdy, jeżeli koncert jego będzie aranżować p. Marek, będzie co najmniej Lisztem, i skrzypków samych Sarasate'ych, pojawi się też nie mało swojskich genjuszów muzycznych, których europejska sława rozbrzmiewa od ulicy Halickiej aż na Chorążczyznę, wśród i tej fali tonów rozpływać się będziemy jak cukier w ciepłej wodzie, aż do karnawału. Oprócz tego odbędzie się kilka sentymentalnych odczytów na temat „dawniej było lepiej, a nie tak to i dawno“ i na tem zakończy się obfite żniwo na polu umysłowem roku pańskiego 1882.

Słyszę jak krzyczą na mnie: „Obrzydliwy pessymisto! Czarny proroku! Cóż to za ziarno, które siejesz? Imię jego — apatja!“ Przepraszam i protestuję stanowczo!! Stawiając smutne horoskopy, życzę z całego serca, aby się one nie sprawdziły, trudno się jednak pozbyć pewnej zgryźliwości widząc ów zastój, który opanował naszą Galicję. Walczcie z nami, udowodnijcie nam, że się mylimy, a z pokorą uderzymy się w piersi. Żeby jednak ruch umysłowy żywszem uderzył tętnem, potrzeba więcej energji, a przedewszystkiem aby wystąpiło choć kilku nowych ludzi, którzyby już nie szli utartym szlakiem, niedałeke prowadzącym, ale śmiało zainicjowali nowe życie. Jeżeli się tacy znajdą, wszystko pójdzie inaczej.

* * *

Piszemy powyżej o braku ruchu umysłowego w naszem mieście. A także ostatecznie dziwić się temu, skoro instytucja powołana do tego i w tym celu założona, — która nawet w swoim czasie zamyślała pozować na filję akademji umiejętności — nie daje znaku życia. Mówimy tu o „Kole literackiem!! W Krakowie odbywają się nieprzerwalnie posiedzenia, niedawno temu uchwalono tam urządzić zjazd literatów i artystów, u nas tymczasem, chociaż już dawno minął czas wakacyjny, o „Kole“ zupełnie głucho. Interpelujemy wydział w tej sprawie.

* * *

Ze świata artystycznego nie mamy nic do zanotowania. W ubiegłym tygodniu urządzono wprawdzie koncert na rzecz Towarzystwa bratniej pomocy słuchaczów uniwersytetu, ale był on tak monotonny jak zwykle każdy koncert, w którym występują amatorowie, popisujący się najczęściej tem, czego nie umieją. Z tego powodu sądzimy, iż będą oni nam wdzięczni za milczenie. Niechaj im ono wystarczy za pochlebne sprawozdanie. Jednego tylko zamilczeć nie możemy, a mianowicie deklamacji pewnego akademika, z której dowiedzieliśmy się, że księżyc istniał pierwej niż słońce, a mimo to świecił! Skąd on biedaczysko brał promieni? Oj! ta niegodziwa astronomja!

* * *

Z teatru niema również nic nowego. Onegdaj przedstawiono wprawdzie nową komedję Bürgera, zatytułowaną „Jour Fixe“, ale rzecz to niegodna nawet wspomnienia. Przedstawiana ongi w Burgu wiedeńskim, dość się podobała z powodu gry artystów, dla nas pozostała tylko treść sama sztuki, która jest w całem tego słowa znaczeniu banalna Dość powiedzieć, że autor komedji zdobył się na oryginalny koncept, i wprowadził na scenę strojenie fortepianu, sądząc widocznie, że to akcja bardzo zabawna szczególnie dla.. słuchaczy.

* * *

W jednym z tutejszych sklepów wystawiono na widok publiczny fotografie z rysunków Mottego z Poznania. Rysunki te mają być ilustracjami do baśni ludowych, polskich, ruskich i litewskich Łucjana Siemieńskiego, ale w rzeczywistości są tylko płodem dzikiej fantazji, nielicującej wcale z naiwnym charakterem skazek ludowych. Kto nie zna dotąd baśni ludowych, zebranych przez Siemieńskiego, ten zobaczywszy rysunki p. Mottego, z pewnością ich czytać nie będzie wyobrażając sobie, że są to przesadne wymysły ludzi, znajdujących się w malignie. Czy taki miał zamiar p. Motty biorąc się do ilustrowania baśni... trudno odgadnąć!

* * *

Jak przewidywaliśmy w poprzednim numerze, Rada fundacji Skarbkowskiej nie przychyliła się do żądania p. Miłaszewskiego, wypłacenia mu odszkodowania za poniesione straty, — natomiast przyjęła jego zrzeczenie się z posady dyrektora teatru lwowskiego. W krótce konkurs ma być rozpisany, a jako kandydata, który ma najwięcej szans, wymieniają spółkę kilku właścicieli większych posiadłości z p. Ładnowskim na czele.

* * *

Warszawskie „Towarzystwo muzyczne“ zapowiedziało na sezon zimowy między innemi, wykonanie następujących większych kompozycyj choralnych „Cztery pory roku“ Haydna, „Harpę“ Haana i „Cygańską wieśniaczkę“, Biernackiego, warszawianina, a obecnie Dyrektora Tow. muz. w Stanisławowie. Ze Stanisławowa bliżej do Lwowa, niż

do Warszawy, — wiedzą to wszyscy — a jednak Warszawa prędzej będzie miała sposobność usłyszeć utwor kompozytora swojskiego, a musi on być widocznie niepospolitej wartości, skoro stanie obok arcydzieła Haydenowskiego. Tę i następną uwagę adresujemy do Szan. Dyrekcji Tow. muz. we Lwowie. Oto Tow. muz. warszawskie wprowadzi w bieżącym roku na estradę, jako stały numer koncertowy, ponętną nowość — „Pieśni ludowe“ ułożone na chóry. Czy u nas byłoby to niemożliwem?

ZAPISKI.

Literatura.

* Profesor uniwerzytetu wrocławskiego, dr. Caro, jeden z najgruntowniejszych i najsumienniejszych badaczy naszych dziejów, mianowany niedawno członkiem krakowskiej Akademji Umiejętności, przybył dnia 7 bm. do Krakowa, i tam na wydziale historycznym akademji odczytał rozprawę o Janie Ostrorogu, i memorjale tegoż o naprawie Rzeczy pospolitej. Memorjał ten napisany na podstawie pracy niemieckiej z r. 1438 przedłożył Ostroróg sejmowi r. 1459. Był on wypływem stronnictwa postępowego z Kazimierzem Jagiellończykiem na czele, i skierowany był przeciw hierarchji kościelno-możnowładczej. Nad pracą prof. Cara rozpoczęła się żywa dyskusja. Prof. Bobrzyński wystąpił przeciw dr. Caro twierdząc, że podstawą pracy Ostroroga nie był memorjał niemiecki, lecz dzieła włoskich legistów, a co do daty, że był napisany i przedłożony sojmowi dopiero w roku 1470.

* Nagrodę konkursową w kwocie 750 rubli — rozpisaną przez redakcję „Biblioteki Warszawskiej“ za najlepszą „Historję języka polskiego“, otrzymał p. dr. Kalina, docent lwowskiego uniwersytetu. Praca jego obejmująca 121 arkuszy pisma drobnego, ma wyczerpywać przedmiot w sposób gruntowy i ściśle naukowy. Pan Kalina otrzymał również stypendjum Śniadeckiego w kwocie 5000 franków — a jako niezmordowany pracownik w dziedzinie lingwistyki słowiańskiej, zamierza podobno udać się obecnie, celem dalszych studjów, do krajów południowej Słowiańszczyzny.

* Po „Mentorze“, i „Posażnej jedynaczce“, przełożył p. W. Lange, „Consilium facultatis“ i „Poznaj nim pokochasz“. Przekład i tym razem dobry — jedno możnaby zarzucić tłumaczowi, że tytuł „Consilium facultatis“ zmienił na „dr. Müller“. Zmiana ta zupełnie niepotrzebna, a jak w tym wypadku nawet niestosowna, bo zatraciła myśl autora, tkwiącą w oryginalnym tytule. Obie komedyjki jak i poprzednie, wyszły w „Bibliotece uniwersalnej“ Reclama

* „O Hołdach pruskich“ podług żródeł dziejowych, napisał e x r e arcydzieła Matejki — nader ciekawą broszurę p. Cezar Biernacki (Warszawa u Gebetnera i Wolfa. 8. 1882). W przeciągu 116 lat, t. j. od r. 1525 do 1641 — 6 razy korzyli się książęta prusey przed majestatem królów polskich.

* Wydawnictwo „Słownika geograficznego“, wychodzącej w Warszawie publikacji, nader cenne i sumiennie opracowywanej — lecz niestety bardzo mało u nas rozpowszechnionej — przeszło obecnie na wyłączną własność p. Wład. Walewskiego. Skład redakcji pozostał niezmieniony, kierownictwo i nadal zatrzymał p. Filip Sulimierski.

* Staraniem p. Rafała Loewenfelda we Wrocławiu, wyszła faksymilowana reprodukcja nader rzadkiej i ciekawej rozprawy z XVI wieku: N o w y k a r a k t e r p o l s k i z d r u k a r n i e Ł a z a r z o w e y 1594. Autorem jej był Januszowski, który zamierzał nią wyrugować niemieckie pismo z Polski, i ustalić ortografię polską.

* W Paryżu postarano się o zupełne wydanie dzieł Juljusza Janina — tego sławnego twórcy fejletonu, który przez długie lata był wyrocznią dla autorów dramatycznych, artystów i wszelkiego rodzaju literatów. Krytyki Janina, odznaczające się zawsze bezstronnością i trafnym sądem, a przytem niezrównaną werwą humorystyczną, rozsypane były po odcinkach dzienników, i oczywiście podzielały los tych jednodniówek.

Teatr i muzyka.

* D w a c h ó r y W ł. Ż e l e ń s k i e g o, mianowicie: kwartet solowy p. t. P i e ś ń ż e g l a r z y op. 34 (słowa Wasilewskiego) — C h ó r s t r z e l c ó w z towarzyszeniem 4 waltorni op. 33 (słowa Garczyńskiego) wyszły właśnie nakładem znanej firmy lipskiej Leuckarta z tekstem zarówno polskim jak i dobrze tłumaczonym niemieckim. Ozdobne to i nader staranne wydanie, o które niemiecki nakładca sam pierwszy się do kompozytora zgłosił, korzystne warunki mu ofiarując, jest wymownem świadectwem, że utwory ziomka naszego i za granicą cieszą się nietylko zasłużonem uznaniem, lecz nawet popularnością. Nakładem tejże samej firmy wyjdzie niebawem trzeci chór P i e ś ń d o W i l j i z tłumaczeniem niemieckiem. Podobno w Wiedniu te chóry mają być w tym sezonie wykonane w koncertach „Musikvereinu“.

* Na otwarcie teatru zimowego w Krakowie, przedstawiono „Starą Baśń“ przerobioną z powieści historycznej J. I. Kraszewskiego. Niepojmujemy, komu przyjść mogło na myśl przerabiać rzecz taką i chcieć przedstawić na scenie. „Stara Baśń“ Kraszewskiego nie odznacza się ani bogactwem treści, ani akcją, a raczej obrazami i opisami, których przecież absolutnie scenizować niepodobna. To też „Stara Baśń“ upadła zaraz po pierwszem przedstawieniu, i z resztą powieści z pewnością nikt nie będzie robić podobnych doświadczeń.

* „Słowik polski“ znakomita nasza śpiewaczka p. Marcelina Sembrich-Kochańska, bawi obecnie w Madrycie, dokąd została zaproszona na 14 występów gościnnych z wynagrodzeniem 4000 franków za występ. Występy zaczęła od „Lucji“ Donizzetego, następnie śpiewać ma „Cyrulika“ ze sławnym Massinim. Z Madrytu uda się artystka do Petersburga na występy zimowe — gdzie otrzyma po 5000 franków za jeden wieczór. Repertuar jej petersburski — prócz dawnych oper — zawierać będzie i nowości: „Mignon“, „Hamleta“ i „Gwiazdę północną“.

* Dnia 1. b. m. „Teatr polski w Petesburgu rozpoczął przedstawienia w sali „szlacheckiego Kasyne“. Sala ta ma być prześliczną. Na pierwszem przedstawieniu odegrano „Śluby panieńskie“ Fredry. Teatr był przepełniony. Publiczność przyjmowała artystów nader gorąco. Wszystkie pisma nawet „Nowoje Wremja“ sympatycznie piszą o polskim teatrze w Petersburgu, i wyrażają nadzieję, że stale się utrzyma.

* Balet polski pod dyrekcją p. Łukowicza, daje z powodzeniem przedstawienia w Puszkinowskim teatrze w Moskwie

* D r u k a r n i a t e a t r ó w c e s a r s k i c h w Petersburgu wydaje skrócone teksty (libreta) w języku rossyjskim tych utworów scenicznych, które grywane być mają w stałym teatrze polskim w Petersburgu Teksty ułożone są tak, że nietylko zaznajamiają publiczność rossyjską, nieobeznaną z językiem polskim, z treścią utworów, lecz pozwalają śledzić akcję sztuki, t. j. ułożone są ściśle w porządku scen. Oprócz tego niektóre utwory opatrzone są odpowiedniemi uwagami, tak np. w „Zemście“ znajdujemy treściwe objaśnienie znaczenia tytułów „cześnik,“ „podstoli,“ „rejent“ Dotychczas wyszły w tem wydaniu (inicjatywa tegoż należy do redaktora „Gołosu,“ pana Krajewskiego) „Zemsta“ i „Śluby panieńskie,“ w druku zaś znajdują się „Pozytywni“ i „Staroświeczyzna.“ Wzmiankowane teksty, jak utrzymuje „Kraj,“ powinny przysporzyć teatrowi polskiemu rossyjskich widzów.

* Dowiadujemy się z dzienników francuskich, że Gounod i Saint-Saens odwidzą w ciągu zimy Petersburg. Nawet 40 stopniowe mrozy nie odstraszają odeń kapryśnych i rozpieszczonych zwykle synów Apollina, bo też dają im tam tyle, że będą się mieli za co ogrzać.

* Pan Stanisław br. Lesser, warszawianin, objął dyrekcję teatru niemieckiego w Peszcie, i rządy swoje rozpoczął przedstawieniem „Dymitra“ Schillera i Laubego. Nie wspominalibyśmy o tem, jako o fakcie, ostatecznie nie wiele obchodzącym nasz ogół, gdyby nie wzmianka w pismach berlińskich, że szkiców kostjumowych i dekoracyjnych do tej sztuki, rzekomo dostarczył Matejko. W takim razie zazdrościmy Węgrom, a raczej Niemcom zamieszkałym w stolicy węgierskiej, widoku reprezentacji scenicznej, prawdopodobnie w całem tego słowa znaczeniu wspaniałej.

* W krótce ma być przedstawiony w Burgtheatrze wiedeńskim pięcioaktowy dramat Pawła Heysego „Hanns Lange“. Ten sam autor kończy właśnie nowy dramat trzyaktowy pt: Das Recht des Staerckeren. Rzecz dzieje się na wyspie Sylt, gdzie poeta bawił zeszłego roku w kąpielach. Z Berlina udaje się Heyse do Weimaru gdzie niedługo ma być przedstawiony jego „Alabiades“. — Adelina Patti dawała z. tygodnia w Swansei, małym porcie w pobliżu zamku swego Croig-y-Nos na rzecz szpitala tamtejszego koncert z współudziałem Nicoliniego, wiolonistki Castellan i pianisty Tytusa Mattei. Dochód z koncertu jest dość znaczny. Sławna spiewaczka wyjeżdża 21 października do Liwerpolu, gdzie za każdy występ brać będzie 20.000 franków:

* W Katanii jako rodzinnem mieście B e l l i n i e g o, postawiono 27 września znakomitemu temu kompozytorowi pomnik według planu rzeźbiarza Monteverde. Bellini wyobrażony jest w postawie siedzącej, przy fortepianie, na wysokim cokole zamieszczono kilka figur, przedstawiających główne opery Belliniego.

Sztuki piękne.

* Na budowę „m u z e u m d e s a r t s d e c o r a t i f s“ w Paryżu, rozpisano loterję, która ma przynieść 14 milionów franków. Na zakupno t. z. kolekcji Spitzera przeznaczono 6 milionów.

* Wystawa dzieł sztuki w sali politechniki została zamkniętą z d. 1. października. Z pomiędzy wystawionych obrazów zakupiono wiele do wylosowania; ozdoba wystawy „Sara“ Merwarta nabytą została za sumę 4.000 zł. przez hrabinę Mierową. Dochód z kart wstępu był dość znaczny a w ogóle cała wystawa była dowodem, że lwowskie towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych się podnosi, a zamiłowanie sztuki wśród publiczności wzrasta. Niedługo odbędzie się walne zgromadzenie towarzystwa, a wtedy będziemy mogli podać pozytywne liczby, świadczące o chlubnych usiłowaniach dyrekcji i w ogóle o rozwoju całego towarzystwa, któremu przybywa czem raz więcej członków.

* Genialne dzieło Matejki, „Hołd pruski“ odesłane zostało już do Wiednia. Dochód z wystawy tego obrazu we Lwowie wynosił przeszło 3000 zł,

* Najnowszy obraz Siemiradzkiego p. t. „W dobie marzeń“ znajduje się obecnie na jednej z wystaw w Berlinie, gdzie ściąga licznych widzów i wielbicieli talentu naszego mistrza. Treścią jego para zakochanych — pogrążonych w zadumie na tarasie ogrodowym, w prześliczną noc letnią. Temat nader to obfity dla takiego mistrza tonów światła, półcieni, i perspektywy jak Siemiradzki. Miał się też, jak zapewniają berlińscy sprawozdawcy, wywiązać z niego z właściwym sobie artyzmem.

† W Wiedniu zmarł w tych dniach Alojzy Anreiter, znany akwarelista, licząc 79 lat życia Anreiter ur. się w Bozen w Tyrolu. Najgłówniejsza kompozycja jego alegoryczna, przedstawiająca „Narodziny Bethovena“ jest znana powszechnie. Zmarły próbował sił swych także na polu krytyki artystycznej.

* Obraz Meissoniergo przedstawiający Napoleona I. w bitwie pod Marengo, został niedawno sprzedany w Londynie pp. Wallis and Son za sumę 6000 funtów szterlingów.

* Profesor Karol Werner mianowany nauczycielem akwarelowego malarstwa w akademji sztuk pięknych w Lipsku, otworzył 2. października t. z Meisteratelier.

* Z funduszów państwowych chce rząd włoski założyć w Rzymie galerję sztuki nowożytnej. Miała by ona być pomieszczona w dawnym klasztorze kartuzów obok S. Maria degli Angeli; rząd na zakupno dzieł żyjących artystów chce ofiarować rocznie 400000 lirów.

* Berlińska „Germania“ podała niedawno w nader zajmującym fejletonie wiadomość, że z kamienia grobowego starochrześciańskiego, odczytano nareszcie imię budowniczego Kolosseum. Miał on się zwać Gaudentius, i zginął jako męczennik na arenie gmachu, wybudowanego przez siebie. Kiedy za czasów Piusa IX. rozkopano większą przestrzeń w Katakombach św. Agnieszki w ulicy Numantyjskiej, napotkano na głaz marmurowy ozdobiony koroną i palmą. Skromny napis na kamieniu grobowym mówił o Gaudentiuszu, twórcy Kolosseum. Napis ten znajdujący się obecnie w Kościele św. Marcina na Forum brzmi:

Sic premia servas Vespasiane dire
Premiatus est morte Gaudenti letare
Civitas ubi glorie tue autori
Promisit iste dat Kristus omnia tibi
Qui alium paravit theatrum in Celo.

De Rossi i inni archeologowie przeczą jednak, jakoby napis ten był prawdziwy i sądzą, że jest to fałszerstwo XVII. wieku.

* Znakomita historja sztuki starożytnej napisana przez p. Perrota i K. Chipiera, wychodzi obecnie w przekładzie niemieckim Pietschmana. Pierwsze dwa zeszyty zawierają początek dziejów sztuki w Egipcie, które mają być zamknięte w 20 zeszytach. Przedmowę to tej części napisał sławny egiptolog Jerzy Ebers.

Archeologja.

* Rzeźby Skopasa dotychczas nie były znane z oryginałów, a kopie dzieł jego z czasów późniejszych nie pozwalały na pewne ocenienie stylu mistrza. Obecnie dopiero znaleziono odłamki grup umieszczonych na fasadzie świątyni w Tegei, którą według Pausaniasza odbudował on po pożarze w r. 395, a prawdopodobnie i własnem dłutem ozdobił. Na fasadzie jej miały być przedstawione łowy Kaledońskie: odyniec a obok niego Atalanta, Meleager i Tezeusz. Że znalezione szczątki pochodzą istotnie z świątyni Tegeańskiej, na to są liczne dowody, a najgłówniejszym jest styl, odnoszący je bezsprzecznie do IV. wieku. Na dwóch odnalezionych głowach charakterystyczna jest wypukłość silna czoła, energicznie wysunięty dół twarzy, rozwarte pełno oko i w ogóle w formach patos, charakteryzujący Skopasa.

* W ostatnim zeszycie Atheneum lond. niejaki Wilson opowiada o dwóch podziemnych wsiach w Kapadocji, które miał sposobność zwidzieć nie dawno. Okolica, w której leżą owe wsie, pisze Mr. Wilson jest wyżyną szeroką na 15, długą na 25 mil angielskich, i leży na północ od Nigdeh w kierunku drogi rzymskiej, wiodącej z Tyany do Angory. Pierwsza z wsi widzianych przez niego, Hassakiej, na pozór składa się z niskich chatek, ale każda z tych chat ma podziemne mieszkanie, wykute w miękkim wulkanicznym kamieniu, do którego prowadzi wązki korytarz, zamknięty w miejscu, gdzie twarda skała pozwala się już użyć jako ściana na grubość 3 do 4 stóp, kamieniem, który może być posuwany tam i napowrót według potrzeby. Urządzenie to podobne jest bardzo do urządzeń w grobowcach królów w Jerozolimie, z tą różnicą, że tam ten kamień tylko z zewnątrz, tu zaś wyłącznie z wewnątrz może być poruszany. W czasach pokojowych kamień leży w korytarzu, i podtrzymywany jest drobnym kamieniem, w czasach niebezpiecznych zaś, gdy mieszkańcy chaty kryją się w podziemiach, kamień stacza się niżej, i zapiera wejście dla wszystkich, którzy by się z zewnątrz tam wedrzeć chcieli. Mieszkania te wszystkie urządzone są na jeden sposób: składają się z wielkiej komory dla bydła, i na magazyn zapasów, tudzież z trzech wąziutkich pieczar, przeznaczonych na pomieszczenie ludzi, na kuchnię i zbiornik wody.

Mieszkańcy tych wsi niemniej zajmowali badacza. Są oni potomkami dawnych mieszkańców Kapadocji. Język ich ma wiele słów tureckich, ale w gruncie jest językiem greckim, a cała okolica zdaje się do dziś dnia hołduje tym samym zwyczajom i obyczajom, o jakich pisze Ksenofont w Anabasis (L. 4. Car. 5.)

Statystyka.

* Według obliczenia w „Petermansche Mittheilungen“ Europa posiada obecnie 327.743,400 mieszkańców, Azja 765 591.000, Afryka 205. 823.260, Ameryka 100.415,400. Australja i Polinezja 4.232,000, ziemie podbiegunowe 82,500. W ten sposób na kilometr □ przypada w Europie 34, w Azji 18 w Afryce 7, w Ameryce 2·6, w Australji 0·5 mieszkańców.

* Według „Techniker'a“ znajdują się w Anglii, nie licząc lokomotyw, w ruchu maszyny parowe o sile 7.000.000, koni, w Stanach Zjednoczonych jest ich 7.500,000, w Niemczech 4.000,000, we Francji 3.000,000, a w Austrji 1. 500,000. Liczba lokomotyw w nowym i starym świecie przechodzi 100.000, siłę ich obliczyć można na 80.000.000 koni, z czego się okazuje, że maszyny, licząc na jednę siłę konia 10 ludzi, spełniają pracę za 800 milionów ludzi.

Geografia.

* Nową kartę Austro-Węgier i krajów pogranicznych, na podstawie najnowszych źródeł, wydaje dyrekcja wiedeńskiego instytutu wojskowego. Mapa ta sięga na północ aż po Berlin, na południe po Rzym i Stambuł, na wschód po Kijów i Odessę, na zachód po Brazylię i Sztrasburg. Cała karta składać się będzie z 30 arkuszy, a złożona razem zajmie przestrzeń 1·55 metr. wys. a 2·34 metra szeroką. Nazwy, koleje, i granice będą drukowane kolorem czarnym, drogi czerwonym, rzeki, jeziora i t. p. niebieskim. Teren nader praktycznie przedstawiony, będzie szrafowany brunatno. Pierwszy zeszyt złożony z 4 kart i szkieletu dodanego bezpłatnie, wyjdzie 1. grudnia. Całość kosztować będzie 27 zł. w prenumeracie z którą zgłaszać się wolno do 15 listopada do R. Lechnera k. k. Hof und Universitäts Buchhandlung Wien, Graben 31.

Filologja.

* Kongres filologów rozpoczął 27 z. m. posiedzenia swoje w Karlsruhe. Zgromadzonych powitał dyrektor giminazjum Wendt, poczem dyrektor Genthe z Hamburga mówił: „Ueber die Beziehungen der Griechen und Römer zum Balticum“.

Gospodarstwo.

* Kasztany słodkie czyli t. z. marony, grające zwłaszcza na południu, gdzie służą za pożywienie, nader ważną rolę, niedały się dotychczas mimo prób tysiącznych, konserwować czas dłuższy. Obecnie udało się niejakiemu panu Magne wynaleść sposób, za pomocą którego kasztany dadzą się przechować aż do maja a nawet i dłużej. Sposób ten nader tani jest następujący: Owoce należy zapakować w listopadzie lub grudniu w beczki, lub, co praktyczniejsze, w naczynia gliniane napełnione piaskiem, i pozostawić w miejscu nieprzystępnem dla wilgoci.

Miscelanea.

— Wyprawa na wyspę „Jan Mayen“ Dnia 2. kwietnia b. r. opuścił austryjacki statek „Pola“ port tegoż nazwiska, i udał się przez cieśninę gibraltarską najpierw do Anglii, gdzie stanął przy końcu kwietnia, zaś 7. maja wyruszył do Bergen, stacji na półwyspie skandynawskim. To

zaopatrzywszy się w niezbędne potrzeby i przyjąwszy na pokład hrabiów Wilczka i Palfy'ego, puściła się dnia 21. maja wyprawa w dalszą podróż pod kierownictwem kapitana Fr. Müllera. Dnia 28. maja przekroczono północne koło biegunowe, i odtąd aż do połowy sierpnia nie widzieli podróżnicy nocy, chyba że mgły i gwałtowne burze jakie takie o niej dawały wyobrażenie. Ostatniego maja spostrzeżono pierwsze kry, które jednak dopiero w kilka dni później wstrzymały stanowczo dalszą podróż. Po bezskutecznych usiłowaniach przedarcia się przez nie, minąwszy skaliste Lofody powróciła wyprawa do norwegskiej zatoki Tromsö, leżącej prawie pod 70 stopniem północnej szerokości.

Dopiero 21. czerwca opuszczono fjordy skandynawskie, a jadąc w kierunku północnym wkrótce minięto 72. st. północnej szerokości, poczem wyprawa udała się wprost na zachód ku wyspie Mayen. Po kilku dniach spotkano znów małe kry, a dnia 27. czerwca spostrzeżono szczyty gór, wznoszące się blisko 2 000 metrów po nad powierzchnią morza. Przystęp do wyspy był jednak zamknięty, otaczał ją bowiem naokoło lód na 10. do 15. mil. Przytem i brzegi jej tylko w niektórych miejscach były dostępne, najważniejszem więc obecnie zadaniem wyprawy było wyszukanie miejsca, gdzieby w danym razie okręt mógł zarzucić kotwicę. Po ciężkiej pracy udało się wreszcie dnia 12. lipca przełamać lody i zbliżyć się do wyspy, która obecnie już cokolwiek inaczej przedstawiała się żeglarzom. Oto nierzadko spostrzedz można było wynurzającego się z wody grenlandzkiego wieloryba, mnóstwo psów morskich, lecz najwięcej ptactwa, które zaniepokojone niezwykłem w owych stronach zjawiskiem, przeraźliwie krzyczało. Niemało także ujrzano tu lisów podbiegunowych, które cierpliwie czatowały pod skałami, na których się ptaki gnieżdżą, często bowiem zdarza się, że albo stary ptak nieostrożny zleci na dół ze swych bezpiecznych siedlisk, lub też burza strąci gniazdo z młodemi, a wówczas z pewnością lis się w tej chwili znajdzie.

Długo okręt krążył naokoło wyspy, chcąc znaleść miejsce dogodne dla siebie, i dla odważnych podróżników, którzy mieli badać owe niegościnne skały i lądy. W kilku miejscach próbowano wylądować, jednak znaczne trudności i niedogodności zmuszały wyprawę do szukania lepszej przystani.

Dopiero 14. lipca znaleziono ją koło „góry ptasiej" i natychmiast wzięto się do wyładowywania tak zapasów żywności jakoteż innych materjałów, w które wyprawa przed odjazdem się zaopatrzyła. A nie była to praca spokojna, bo bardzo często nadpływały całe pola lodowe, które trzeba było w jakiś sposób rozbijać lub wstrzymywać, by nie zgniotły okrętu. Mniej niebezpieczne były kry, które jako bardzo ciężkie, głęboko wchodziły w morze, i już zdala od wybrzeży zatrzymywały się na dnie morskiem, i tworzyły nawet tamy przeciwko owym stosunkowo cienkim, ale nadzwyczaj rozległym polom lodowym. „Pola" nie była i tu zupełnie bezpieczną, dwa razy bowiem musiała uchodzić przed lodami.

Wyspa „Jan Mayen" jest wulkanicznej natury. Brzegi jej przeważnie lecz nie wszędzie są skaliste i strome, owszem w niektórych miejscach rozciągają się wcale obszerne płaszczyzny piaszczyste, na których znajduje się mnóstwo przez morze wyrzuconego drzewa, już to obrobionego, już to surowego, dalej zaś szczątki wielorybów i innych zwierząt morskich. Szczególniejszą tu rzeczą są laguny, otoczone groblami do 200 metrów szerokiemi a do 4. wysokiemi; wśród nich to najczęściej gubią się potoki, ale nie podlega najmniejszej wątpliwości, że wody ich łączą się z morzem. Bałwany morskie przerzucają nieraz kawałki drzewa przez groble aż do lagunów.

Piasek jest tu wytworem wulkanicznym, a góry składają się najczęściej z lawy i bazaltu, niekiedy także z łupku. Stoki ich zarasta mech żółtozielony, oliwkowy, fioletowy i czarny, a pierwszy z nich w porze wilgotnej posiada szczególniejszą własność świecenia. Roślinność tutejsza bardzo uboga; jest kilka zaledwie rodzajów jawno i skryto kwiatowych, z których pierwsze w letnich miesiącach rozweselają te smutne zawsze okolice. W ogóle tak mało jest tu roślin i traw, że zupełnie nieprawdopodobnem wydaje się twierdzenie, jakoby reny z Grenlandji miały tu czasem w zimie przychodzić dla pożywienia. Fauna nie bogatsza od flory. Zjawia się tu czasem niedźwiedź jako gość tylko, natomiast lis podbiegunowy wiernie trzyma się swej zimnej ojczyzny, a żywność jego stanowi głównie ptactwo. Ono to dodaje życia tej bezludnej wyspie, a najwięcej jest tu alk i nurków. Psy morskie nie rzadko się tu spotyka, natomiast mało raków.

Nie pierwsza to wyprawa odwidziła te strony. Do dziś spotkać tu można warzelnie tranu, a nawet wyraźne ślady mieszkań ludzkich. Oto siedmiu żeglarzy hollenderskich postanowiło przezimować tu z r. 1633, na 1634., lecz wszyscy wymarrli na szkorbut; po nich to pozostały owe szczątki mieszkań.

I w nowszych czasach próbowano badać tę wyspę, ale niestety bez powodzenia. Rozpoznanie np. gór przedstawia niemal nie przełamane trudności; olbrzymie lodowe rozpadliny utrudniają nadzwyczaj dostanie się na szczyty, potrzebaby długo trwającej pogody, by to uskutecznić, a ciągłe burze i mgły najodważniejszemu podróżnikowi odbierają ochotę drapania się na szczyty, sięgające 2.000 metrów. Twierdzą niektórzy, że już wszystkie wulkany wygasły na wyspie Mayen, tymczasem wydobywające się dymy i zapach siarki wyraźnie przeczą temu. Austryjacka wyprawa ma zadanie zbadać ją pod względem objawów astronomicznych, magnetycznych i meteorologicznych, a jeśli się to wszystko uda, jest pewnem, że nie jedna tajemnica ukryta w lodowcach północy rozjaśni się nagle. Jan Mayen nie leży wyżej na północ niżeli ostatnie kończyny półwyspu skandynawskiego, jest jednak w warunkach o wiele gorszych, niż tamte, bo nietylko nie oblewa go z żadnej strony prąd podbiegunowy, aln też i tak zwany prąd golfowy daleko płynie od niego.

Dodać wreszcie należy, że „Pola" odpłynęła do Europy już 16. z. m.

Oświetlenie elektryczne w ostatnich latach znajduje coraz większe rozpowszechnienie zwłaszcza w Anglii i w Stanach Zjednoczonych.

W Londynie dziewięć dworców kolejowych jest oświetlonych elektrycznością; z tych najbardziej zasługuje na uwagę dworzec Kannen-Street, posiadający ośm lamp, każdą o sile światła równej 6000 świec, razem o całkowitem oświetleniu równem 48 000 świec. Lampy są umocowane pod sklepieniem hali stacyjnej w wysokości 12. metrów nad poziomem szyn; prócz tego dwie mniejsze lampy pomieszczone są na placu przed stacją. Wszystkie one tworzą dwa łańcuchy, po pięć lamp systemu Brabie. Każdy łańcuch otrzymuje prąd elektryczny od wielkiej maszyny systemu Gramea. Wkrótce także prądki londyńskie zostaną oświecone elektrycznością.

W stanie Indiana Ameryki Północnej miasteczko Wabasch, liczące pięć tysięcy mieszkańców, jest oświetlone czterma lampami elektrycznemi, umieszczonemi na kopule pałacu sprawiedliwości; światło to wystarcza na miasto rozłożone na przestrzeni jednego kilometra w promieniu, z niewysokiemi domami i prostemi ulicami. W odległości 120 metrów od latarni można z łatwością czytać druk najdrobniejszy, zaś na 800 metrów rozpoznać godzinę na zegarku kieszonkowym. Cienie rzucane są silne, lecz nawet w cieniu można rozpoznać przedmioty nie gorzej, jak pośrodku między dwiema latarniami gazowemi na naszych ulicach. Do wytwarzania prądu elektrycznego służy maszyna parowa o sile 4 koni; roczny koszt wynosi tylko 5000 franków; t. j. 4 razy mniej niżby gaz kosztował.

W Nowym Jorku dotychczas oświetlono $2^1/_2$ kilometra kwadratowego lampami elektrycznemi, rozstawionemi podobnie jak dotychczas gazowe, lecz w większej od siebie odległości. Do oświetlenia całego miasta potrzeba będzie przeszło 5000 takich lamp.

Różne fabryki i zakłady przemysłowe porobiły znaczne oszczędności (8000 — 13000 franków rocznie) przez zaprowadzenie światła elektrycznego. Nakład jednorazowy był stosunkowo nieznaczny (15 do 20 tysięcy franków). Oprócz oszczędności wykazanych, są jeszcze inne korzyści, mianowicie światło elektryczne pozwala rozróżnić kolory prawie równie dobrze jak dzienne, nie psuje powietrza, i nie sprawia gorąca, jak gazowe.

Korespondencja Redakcji.

Panu X. we Lwowie. List Wasz przeczytaliśmy z wielkiem zadowoleniem. Widać z niego, że są ludzie, którzy myślą na serjo i wiedzą jasno czego żądają. Chcielibyśmy was poznać. Bądźcie przekonani, że myśli nasze są jedne, różnica tylko leży w metodzie. Zresztą przeczytajcie uważnie obecny numer. Oczekujemy was w naszej redakcji.

Panu No... No... w Krakowie. Dziękujemy za pamięć. Za kilka dni damy odpowiedź.

Treść.

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika Polskiego", pod zarządem Leona Zubalewicza.

MUSUJĄCY ANGIELSKI

PORTER,

STARY FRANCUSKI

KONIAK,

AUSTRYJACKIE I WĘGIERSKIE

WINA,

LITEWSKĄ

STARKĘ,

GDAŃSKIE

WÓDKI,

OSOBNY POKÓJ

DO

ŚNIADAŃ,

POLECA

HANDEL KORZENNY

F. D. NOWICKIEGO

ul. Halicka l. 52.

Nowości

z konfekcyi dla dam

jako to:

kostiumy, paletoty, dolmany, zarzutki, płaszcze i t. p.

najnowszego fasonu

poleca **w największym** wyborze

Magazyn Schayerów

we Lwowie,

ulica Karola Ludwika liczba 3.

Zamówienia z prowincyi uskutecznia odwrotną pocztą.



B. RAKOWIECKI

pianista.

udziela lekcyj gry fortepianowej

podług najlepszej metody.

Mieszka, ul. Kotlarska l. 2. II. piętr.

Warszawskie flaczki garnuszkowe!

Gandżabur ormiański!

Już nadeszły:

Kozina i Churut ormiański

Świeże i wędzone Pstrągi z Czeremosza.

FLACZKI

warszawskie garnuszkowe
gotowane na bulionie, a la Stępkowski, i

GANDŻABUR ormiański

podaje co Niedziele i Czwartki Restauracja

K. JANOWICZA

ulica Jagiellońska l. 4.

Kozina i Churut!

Świeże i wędzone Pstrągi z Czeremosza!